Nr. 31. Lwów, Niedziela dnia 31. Marca 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

MIĘDZY LUDŹMI.

POWIEŚĆ

przez

BOLESŁAWA PRUSA.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Zmiana losu.

Nadeszły wakacye, a chociaż Tadzio z trudnością, Edzio zaś prawie cudem dostał promocyą do klasy trzeciej, z tem wszystkiem jednak w uroczysty dzień zakończenia roku szkolnego czekała ich w domu niespodzianka. Gdy chłopcy wrócili ze szkoły i okazali rodzicom cenzury, matka uroniła parę łez radości, a ojciec ozdobiwszy oblicze poważnym i dobrotliwym uśmiechem rzekł do nich:

— Moje dzieci! wiecie o tem, że nauka uzacnia człowieka. Wiecie też, że szkoła jest obrazem życia, i że kto za młodu wypełnia gorliwie swe obowiązki, ten stanie się z czasem dobrym obywatelem kraju. Nauka i sumienne wypełnianie obowiązków robią człowieka szczęśliwym, i wy też zapewne czujecie w tej chwili słodkie zadowolnienie w młodych sercach waszych...

— O tak jest, proszę ojca!... — wykrzyknął Edzio, przyzwyczajony do scen ceremonialnych swego życiodawcy.

— Tak jest!... — powtórzył za nim Tadzio, który, jako młodszy, nie umiał w tym wypadku przyoblec się w należytą powagę i z wielką ciekawością zaglądał do drugiego pokoju.

— Wiem — ciągnął dalej pan Karol, — że obraziłbym was jakąś materyalną nagrodą za naukę i cnotę... wszak prawda?...

— O tak, ojcze!... — zawołał znowu Edzio...

— Tak! tak!... — powtórzył za nim Tadzio niecierpliwie oczekując na zakończenie mowy.

— Z tem wszystkiem — prawił dalej pan Karol — w zamian za przyjemność, jaką mnie i matce sprawiły wasze promocye, — postanowiliśmy dać wam małe upominki...

Teraz już nawet Edzio zarumienił się jak wisieńka, a Tadzio klasnął w ręce. Tymczasem ojciec wyniósł z drugiego pokoju prześliczny trzykolowy welocyped i fuzyą, która strzelała z kapiszonów.

Reszta niezupełnie naturalnej powagi opuściła już chłopców. Edzio rzucił się ojcu na szyję, Tadzio najprzód złapał fuzyą, potem ucałował matkę, — później odciągnąwszy kurek, podziękował ojcu, a nareszcie chciał usiąść na welocypedzie, który nieszczęściem był już zajęty przez Edzia.

Pan Karol czuł wielką chęć do wypowiedzenia jeszcze kilku kształcących uwag. Chłopcy jednak już go nie słuchali: zaczęli jeździć po wszystkich pokojach, strzelać i śmiać się tak wesoło, że aż Jaś wyszedł ze swego pokoiku i stanąwszy za fotelem, prawie pożerał wzrokiem ich piękne zabawki. Przypomniał on sobie, że i jemu matka dawała kiedyś podarunki: raz bęben, drugi raz papierowego konia na kółkach, trzeci raz trąbkę blaszaną... Wprawdzie wszystkie te cacka razem wzięte nie warte były welocypeda albo fuzyi, a jednak... o jakżeby pragnął, aby się choć we śnie wróciły i owe czasy i ubogie cacka i ich dawczyni kochana!

Chłopcy tymczasem nie zważając na smutnego Jasia, — jeździli, strzelali i krzyczeli, zapomniawszy o tem, że są już przecie trzecioklasistami, a nadewszystko synami ojca, który sieroty w dom przyjmował, myślał o szczęściu całego społeczeństwa, i tak budujące mowy prawił im przy każdej sposobności!

Ta niepomiarkowana dziecinna wesołość ich nie podobała się panu Karolowi. Wziął on żonę do drugiego pokoju i rzekł do niej z odcieniem łagodnej goryczy:

— Obawiam się droga, że chłopcy nasi nie zrozumieli tego, co do nich mówiłem...

— Ależ Karolu!... Ależ to być nie może!... Oni cię zawsze rozumieją... Oni są nad wiek rozwinięci!... Czy nie dostrzegłeś, z jaką uwagą słuchał cię Edzio?... Ten chłopiec każdy twój wyraz pochłaniał... mówiła pani Karolowa z wielkim zapałem.

Zadumane czoło męża wypogodziło się trochę.

— Zdaje mi się jednak — wtrącił — że w przyzwoitej zresztą ich zabawie widzę jakiś odcień lekkomyślności?...

— Zbyt surowym jesteś, mój drogi! — zawołała pani. — Oni tym sposobem chcą ci okazać swoje przywiązanie i wdzięczność...

Pan Karol uspokoił się zupełnie i poszedł do swego gabinetu, aby tam, zdala od zgiełku, rozmyślać nad ustawą pracowni dla kobiet, które to zajęcie męczyć go zaczęło już trochę w ostatnich czasach. Pani tymczasem odwoławszy synów na stronę, miała z nimi dość długą konferencyę. Tego samego dnia, po obiedzie, na którym Jaś znalazł się przy ogólnym stole, a każdy z chłopców dostał po pół kieliszka wina węgierskiego — na intencyę promocyi — miał miejsce dość szczególny wypadek. W chwili, gdy już wszyscy mieli wstawać od stołu, pani Karolowa spojrzała wymownie na synów, Edzio trącił Tadzia kolanem, Tadzio Edzia kułakiem, poczem obaj stanęli przed ojcem z bardzo uroczystemi minami.

— Mamy wielką prośbę do ojca... — odezwał się Edzio.

— Chcielibyśmy Jasia uczyć... — zawołał prędko Tadzio.

— Ależ nie tak!... — zgromił go Edzio — ja będę mówił... Chcielibyśmy, żeby Jaś bawił się z nami...

— Właśnie, żeby się bawił!... — przerwał Tadzio.

— Pozwólże mnie mówić!... — upomniał go znowu Edzio. Chcielibyśmy uczyć Jasia, a jeżeli będzie pilny, bawić się z nim...

Pani Karolowa spojrzała na męża z tryumfującym uśmiechem, — rozrzewniony zaś pan Karol zabrał głos:

— Bardzo się cieszę, moje dzieci, że

macie tak szlachetne popędy. Owszem, uczcie waszego młodego przyjaciela, tym bowiem sposobem od wczesnego wieku przyzwyczaicie się służyć bliźniemu!

— A co, czy nie zrozumieli cię?... — szepnęła pani nachylając się do małżonka.

Pan Karol z uczuciem pocałował ją w rękę. Edzio zbliżył się do zdziwionego i przestraszonego Jasia i rzekł:

— Dziś dajemy ci jeszcze wakacye, a jutro zabierzemy się do lekcyi. Jak się będziesz dobrze uczył, pozwolimy ci jeździć na welocypedzie albo strzelać z fuzyi. Co ci się podoba!

Ponieważ nie długo potem pan Karol ze swoimi nad wiek rozwiniętymi synami poszedł do znajomych z wizytą, Jaś więc znowu sam został. Był on olśniony, lecz zarazem i zakłopotany. Cieszyło go to, że odtąd będzie miał rówieśników, że będzie się z nimi bawił i rozmawiał. Drżał na myśl, że strzeli z fuzyi i upajał się nadzieją jazdy na welocypedzie. Pytał też ciekawie: czego mnie oni uczyć będą i z góry cieszył się pochwałami za pilność. Może i państwo Karolowie, widząc jego pracę i grzeczność, pogłaszczą go kiedy, a może też i ucałują tak serdecznie jak ta, która go od kilku miesięcy opuściła. Trzeba bowiem wiedzieć, że Jaś miewał czasem dziwne pragnienia: oto chciał kiedy przyjść z nienacka do pani Karolowej, położyć głowę na jej kolanach i ucałować jej suknię. Gdyby zamknął oczy, gdyby uczuł jej delikatne ręce na swojem czole i włosach, wówczas zdawałoby mu się, że wróciła do niego na chwilę matka, którą często widywał, lecz nigdy dotknąć nie mógł spragnionemi ustami. Miał on wprawdzie teraz wszystkie wygody: i pokoik cieplejszy i jedzenie lepsze, lecz brakło mu tej twarzy znajomej, głosu, pieszczot...

Z drugiej jednak strony, na dnie tych pięknych nadziei Jaś czuł jakiś niesmak. Nie mógł on zrozumieć: zkąd dwaj chłopcy tak nagle zapragnęli zająć się jego nauką?... Zdawało mu się, że w obietnicach Edzia i Tadzia brzmiał ten sam ton, podobny do zgrzytu piasku na szybie, jaki słyszał kiedyś w wyrazach:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna... Jasiu, przyjmuję cię za brata.

Jego sieroctwo sprawiło to, że mimo wiedzy i woli stał się podejrzliwym i że bardziej niż kiedyś brutalnego gniewu pana Piotra lękał się dziś obietnic wszystkich członków tej grzecznej i miłosiernej rodziny.

Niebawem dostał się Jaś w ręce swoich nowych opiekunów i nauczycieli. Chłopcy, według skazówek ojca, podzielili się pracą: Tadzio uczył go czytać i pisać, Edzio arytmetyki i geografii. Od wykładów podobnych niech Bóg wszystkie dzieci zachowa!

Edzio kształcił Jasia w ułamkach, lecz ponieważ sam ich dobrze nie umiał, biedny więc jego uczeń z nudnych tych prelekcyi zapamiętał dwa tylko twierdzenia: pierwsze, że jest głupi, a drugie, że jest osieł. Tadzio znowu widząc, że jego wychowaniec w warunkach zwykłych czyta lepiej od niego, wpadł na oryginalny pomysł i kazał uczniowi swemu czytać z książki przewróconej do góry nogami!...

Jak widzimy, nie było w tem nawet cienia nauki, lecz wstrętna i niedorzeczna zabawa dwóch malców, w których zaślepiony ojciec widział zawiązki ludzi wielkich i poświęcających się dla dobra ogółu. Pani Karolowa przypatrywała się niekiedy tym pedagogicznym ćwiczeniom, lecz uważając je za zabawkę wakacyjną, śmiała się z nich i taiła je przed mężem. Jużto wogóle Jaś nie cieszył się jej względami!

Znudziwszy się w taki sposób wykładem arytmetyki i czytaniem, obaj chłopcy zarzucili je i wzięli się do łaciny. Tu już wymagania ich przeszły wszelkie granice. Zadawali Jasiowi naprzykład, do wyuczenia się na pamięć, całą deklinacyę, albo kilkanaście i kilkadziesiąt słówek od razu. Nie dość na tem: chcieli aby się wyuczał ich w ciągu pół godziny lub nawet krótszego czasu.

Pan Karol tymczasem w ciszy swego gabinetu pracował nad ustawą warstatów kobiecych, a pani Karolowa mówiła do chłopców z uśmiechem:

— Nie męczcie się tak, moje dzieci, przecież to wakacye!...

— Musimy, moja mamo! — odpowiadał wtedy Edzio. Cóż z niego będzie, jeżeli w młodym wieku nie przyzwyczai się do pracy?...

Wtedy pani Karolowa głaszcząc nad wiek rozwiniętego synka, myślała:

— Jacy oni podobni do ojca... On wyznaje zupełnie takie same zasady.

Nie poprzestając na nauce, młodzi nauczyciele stosowali jeszcze do swego wychowańca zasady represyi. Zrobili mu dziennik i zapisywali w nim bardzo szczegółowo: Jak się sprawował, jak się uczył, czy był pilny i ile lekcyi opuścił?... U dołu każdodziennego raportu podpisywali się obaj własnoręcznie. Swego jednak sprawowania nie notowali w dzienniku. A wielka szkoda! z tego bowiem źródła, zajęty ustawą pan Karol dowiedziałby się, że Jaś po parę razy na dzień stał w kącie, klęczał i dostawał łapy. Prawdopodobnie zacny ten choć słabego charakteru człowiek, poznawszy co się dzieje, pozbawiłby Jasia możności nauczenia się łaciny i ułamków, a synom dałby zupełniejsze wakacye.

Pewnego razu młodzi pedagogowie, wyczerpawszy już „wszelkie środki łagodności“, poszli do matki z prośbą: aby Jasiowi nie dała obiadu za lenistwo. Prośba ta nie podobała się pani Karolowej. W łagodny lecz stanowczy sposób upomniała ona chłopców, aby się z Jasiem mniej surowo obchodzili i — odebrała im przy tej sposobności pewną „oślą czapkę“, którą Jaś prawie ciągle na głowie nosił.

Jednego dnia pan Karol, znudziwszy się już zupełnie ustawą pracowni kobiecych, zapytał swoich chłopców:

— No, moje dzieci, jakże się tam wasz uczeń popisuje?

Chłopcy podali mu dziennik. Pan Karol przejrzał go i zapytał w obecności Jasia:

— Cóż to znaczy? widzę tu same złe stopnie.

— Ha! cóż robić, proszę ojca, kiedy się źle uczy... — odparł Edzio.

— Czy nie ma zdolności?

— I zdolności nie ma i trochę niechce...

Słysząc to Jaś oblał się pąsem.

— Czy to prawda Jasiu? — zwrócił się do niego pan Karol.

Jaś milczał spuściwszy oczy; wyręczyła go jednak pani Karolowa mówiąc:

— Oni nad nim bardzo wiele pracują, sama to widzę!.. Ponieważ zaś są złe rezultaty, musi mieć zatem nie wielką ochotę do książki.

Jaś wpił sobie paznokcie w ręce i pierwszy raz w życiu uczuł to, co ludzie dorośli nazywają: brakiem szacunku dla starszych. Pan Karol tymczasem przybrawszy surowy wyraz twarzy, mówił spokojnie i sucho:

— Mój Jasiu! zrobiłeś mi wielką przykrość. Przypuszczam, że nie masz zdolności, lecz obok tego widzę ze smutkiem, że brakuje ci ochoty. Ponieważ zaś każdy czyn niedobry musi być zmazany przez pokutę, my więc jutro wyjeżdżamy na parę dni na wieś, a ty zostaniesz w domu! Mój przyjacielu! czujesz wstręt do morałów a ja także. *Longum est iter per praecepta, breve per exempla.* Nie przypuszczam także, aby dzieci słodkich rodziców mogły być gorżkiemi; jak ci, którzy nie wierzą, aby z nasienia dobrego jabłka wyrosnąć mogło drzewo dzikie. Z tym wszystkiem fakty podobne nie dziwią ogrodników i nie stanowią niespodzianki dla znawców ludzi.

Mój przyjacielu, my obaj widujemy rodziców, którzy dzieciom swoim dają kotki i pieski do zabawy. Niekiedy wśród pieszczot dziecięcych kotkowi oczy i język na wierzch wyłażą, ale to nic nie szkodzi. Kotek się nie skarży, a choćby się i poskarżył, któż mu da wiarę?... Lecz jeżeli kotek udrapie swego małego wychowawcę... Ale o tem później. Edzio i Tadzio nie byli bardzo złemi dziećmi; przeciwnie, mieli nawet wiele dobrych nałogów. Nie potrzebnie im jednak dano do zabawy sierotę. Wówczas bowiem chłopcy ci powtarzali na nim te same ćwiczenia, jakie na nich wykonywano. Im także zadawano mnóstwo słówek i deklinacyi i nazywano osłami. Oni także mieli kiedyś pedagoga, który korzystając z nieobecności rodziców wzmacniał czasem swoje wykłady za pomocą klęczenia i podpierał młode latorośle zapomocą giętkiej gruszkowej linii. W świecie moralnym podobnie jak materyalnym nic nie zginie; złe szczególniej chętnie przychowuje się w suterenach duszy ludzkiej i przy sposobności na światło dzienne wychodzi.

Na drugi dzień istotnie państwo Karolowie wyjechali na wieś wraz z dziećmi, a Jaś został sam, rozmyślając nad swojem położeniem. Nowe wrażenia dostarczyły mu bardzo obfitego materyału do medytacyi.

Jaś dobrze rozumiał dwie rzeczy: najprzód to, że nauka udzielana mu przez chłopców, była złośliwem udręczeniem, a powtóre to, że pan Karol postąpił z nim niesprawiedliwie. Jaś przecie uczył się kiedyś arytmetyki i pojmował ją doskonale; łatwo też domyślił się, że Edzio nie musiał być tęgi w ułamkach. Uczył się także czytać, lecz nigdy nie słyszał, aby ktoś posługiwał się książką przewróconą do góry nogami. Uczył się wreszcie obcych języków, lecz nie tak jak łaciny. Przypominał on sobie, w jaki sposób matka zaznajamiała go z wyrazami francuskimi. Ile razy wyszli na spacer i Jaś zobaczył jakiś nowy przedmiot, wówczas matka tłómaczyła mu jego znaczenie, opowiadała mnóstwo ciekawych szczegółów i w końcu nazywała przedmiot ten po francusku. Tym sposobem bez żadnego wy-

siłku, lecz raczej wśród zabawy chłopiec wyuczył się mnóstwa wyrazów obcych. Umiał on nazwać: niebo, obłoki, ptaki, staw, młyn, ryby, łąkę i zwierzęta, które się na niej pasły. Wkrótce też począł układać małe zdania.

Odtąd, ile razy spojrzał na jakiś znany przedmiot, przychodziło mu zaraz na myśl jego francuskie nazwisko, gdy zaś usłyszał wyraz, wnet przypominał sobie zapach siana, klekot młyna, ryby wyskakujące nad powierzchnię wody, szelest trzcin na stawie, słowem, całą piękną naturę wiejską. Nudna zwykle nauka słówek dla niego była przyjemną i podniecającą rozrywką; nie dziw też, że uczył się chętnie.

Obok tego łatwego i poetycznego wykładu, jakże ponuro wyglądała łacina! W umyśle Jasia była ona podobna do jakiejś ciemnej i strasznej jaskini, wśród której ani kroku nie mógł postąpić naprzód i w której nieustannie brzydkie sowy i nietoperze uderzały go w głowę wrzeszcząc; mądrość *sapientia*, bocian *ciconia*, okręt *navis*, rocznik *annalis!*... Nad tą całą obmierzłą czeredą, unosiły się jeszcze dwa smoki: pierwsza i druga deklinacya, których ani zrozumieć, ani zapamiętać nie mógł.

I otóż, za to że czuł wstręt do straszydeł, które wypuścili na niego rówieśnicy, za to że się nie chciał błąkać wśród ciemności, pan Karol nie wziął go ze sobą na wieś, zabraniał mu patrzeć na niebo, wody i lasy, upajać się powietrzem lat dziecinnych. A któż wie, może w niejednym z polnych ptaków, które tak stroniły od miasta, Jaś poznałby dawnego przyjaciela? Kto wie, czy w czasie wieczornej przechadzki ciepły wiatr nie przyniósłby mu dawno już niesłyszanych: „Jasiu!... Jasiu!... wracaj do domu, bo się zaziębisz....“

A dziś, gdzie ten dom i gdzie ta, która go tak niespokojnie wzywała?...

Wyjazd państwa Karolów obudził w sercu Jasia niepokonaną tęsknotę do wsi. Zapragnął jeszcze raz zobaczyć szare stodoły kryte słomą, biały dwór, wyglądający z po za ciemno zielonych liści, a w końcu Antosię, pana Anzelma i całą ich rodzinę. Zdawało mu się, że po śmierci matki oni jedni pozostali tylko na tym świecie. Przypomniał sobie rozstajne drogi, rozwaloną kapliczkę i pożegnanie pana Anzelma. Wszakże to jeszcze od tych rzeczy nawet rok nie upłynął!

Myśli te obudziły w nim, jak na jego wiek, bardzo dziwne postanowienie i otóż, zapragnął do pana Anzelma list napisać. Pamiętał on nazwisko poczty, z której pan Anzelm pisma odbierał i wiedział, że przy bramie ich kamienicy wisiała skrzynka pocztowa. Dwu tych szczegółów było dla niego dosyć. Wziął więc papier, poliniował go i zaczął:

„Kochany panie“.

„Mama chciała pisać do pana, ale już umarła...“ Przeczytawszy te wyrazy, rzucił pióro i zalał się rzewnemi łzami. „Już umarła!...“ Jakie straszne słowo i to on sam je napisał...

Odtąd po kilka razy zasiadał do rozpoczętego listu, na którym duże i nieforemne litery, niejednokrotnie rozpływały się we łzach. Wreszcie, po paru dniach, rzucił zaadresowany list do skrzynki, a niedługo potem przechodzący przez pocztę, w szafce nieopłaconych korespondencyi widzieć mogli między innemi adres dziecinną pisany ręką:

„Do rąk własnych wielmożnego i kochanego Pana Anzelma w Wólce, żeby prędko doszedł.“

Zabawny ten adres był mimo to dokładnym: na nieszczęście jednak na kopercie nie było marki!.. List musiał przepaść, choć kto wie, czy od niego nie zależała przyszłość a nawet życie Jasia.

Gdy rodzina filantropa wróciła ze wsi, pan Karol dostrzegł w Jasiu pewną zmianę. Chłopiec patrzył na wszystkich śmiało, lecz jakoś ponuro. Gdy Edzio i Tadzio poczęli opowiadać mu o konnej jeździe, pływaniu czólnem i wdrapywaniu się na drzewa, przerwał im mówiąc:

— Znam ja to lepiej od was!

I wyszedł, nie wysłuchawszy końca ich opowiadań.

Na domiar złego, do książki siadał niechętnie, a gdy mu jego improwizowani nauczyciele wyrzucali lenistwo, odpowiadał:

— Żebym ja was tak uczył, wypędzilibyście mnie z domu...

Zdarza się, że robak schwytany przez dziecko traci na chwilę przytomność i zachowuje się tak, jak rzecz martwa. Dopiero gdy go wsadzą na szpilkę poczyna się wić, i usiluje kąsać. Jaś już się wił. Słabszy charakter, w jego położeniu, uległby i do śmierci pozostał zabawką dzieci i dorosłych; Jaś nie uległ i to go zgubiło. Pan Karol bowiem widząc nieustanne rozdrażnienie sieroty i grzeczność swoich synów, posądził Jasia o złośliwość.

— Tyle miałem sympatyi dla tego chłopca — mówił raz do żony — ale on nie umie tego ocenić i jak uważam, nie lubi ani nas, ani naszych dzieci.

— Tak zawsze bywa z cudzem pisklęciem!.. — odparła żona, całując męża w wysokie i zadumane czoło.

Wkrótce pan Karol znowu zapomniał o sierocie, a nawet o ustawie pracowni dla kobiet. W tych czasach bowiem ruchliwy i wiecznie na usługi społeczeństwa oddany umysł jego zajął się kwestyą budowania blaszanych śmietników dla miasta. Odtąd pan Karol począł naradzać się z technikami, blacharzami, kołodziejami i ze swych nowych marzeń ocknął się nie prędzej, aż w domu skandal wybuchnął.

Pewnego dnia, Jaś, jak zwykle, w pokoju chłopców uczył się łaciny i, jak zwykle, nauka mu szła nie sporo. Na pozór był on sam, właściwie jednak było ich dwóch: to jest on i welocyped, który stał pod piecem. Ile razy chciał Jaś skupić uwagę nad książką, tyle razy przeszkadzał mu niepoczciwy jego towarzysz. Zdawało się, że welocyped to rusza kółkiem, to pochyla się jak pijany, to znowu ma taką minę, jakby się oglądał i dawał mu znaki. Gdy Jaś położył książkę, welocyped stał spokojnie jak trusia, lecz gdy znowu wziął się do roboty, welocyped znowu rozpoczynał figle, niekiedy bardzo pocieszne. Widocznie kusił chłopca.

Ponieważ pantominy te zniecierpliwiły Jasia, zbliżył się więc do sprytnej maszynki i począł ją oglądać. Potem wsiadł na nią i... ostrożnie, po cichu przejechał po pokoju.

W chwili gdy jeździec i koń zawrócili się z powrotem do pieca, skrzypnęły nagle drzwi i do pokoju wpadli obaj chłopcy.

— Czy widzisz?.. — krzyknął do brata rozgniewany Edzio. — On sobie jeździ zamiast się uczyć!..

— Złaź mi zaraz ty ośle!.. — zawołał z kolei Tadzio i porwawszy Jasia za ramiona, gwałtownie w tył go pochylił.

Szarpnięcie to było tak bolesne, że Jasiowi świeczki stanęły w oczach. Broniąc się więc machnął tak nieszczęśliwie ręką, że uderzył Tadzia w twarz. Rozpoczęła się krótka lecz gwałtowna walka, w ciągu której Jasiowi krew popłynęła z nosa, a obaj chłopcy mieli popodbijane oczy. Na odgłos bitwy wpadła do pokoju pani Karolowa, przed którą Edzio i Tadzio usprawiedliwiali się bardzo prędko, oskarżając przytem Jasia, że ich zbił pięściami i włosy im z głowy powydzierał.

Pani Karolowa znalazła się przy tej sposobności, jak lwica w obronie lwiątek. Nozdrze się jej rozdęły, oczy łzami zaszły... Nie pytając już o powód kłótni, ani patrząc na nos Jasia, krzyknęła drżącym z gniewu głosem:

— Precz mi ztąd!.. niegodzien jesteś bawić się z memi dziećmi, bezwstydny niewdzięczniku!...

Wzburzony Jaś pobiegł do swego pokoiku i upadł tam na łóżko. Nie długo usłyszał nowy hałas; to synowie i matka oskarżali go przed panem Karolem. Biedny chłopiec był już przygotowany na plagi; szczęściem jednak wkrótce wszystko ucichło.

Upłynęła godzina jedna i druga. Gniew Jasia ochłonął, lecz za to wrócił niepokój. „Co oni myślą robić ze mną?..“ — szepnął przerażony.

Nadeszła pora obiadowa i milczący lokaj przyniósł Jasiowi do pokoju jedzenie, lecz chłopiec niczego nie dotknął, myśląc tylko ciągle: „Co to będzie?... co to będzie?..“

Po upływie dwudziestu czterech godzin, służący wezwał Jasia do gabinetu pana. Sierota zastał tam pana Karola, jego żonę, obu synów, a na biurku mały model blaszannego śmietnika, nad którym obecnie pracował filantrop.

— Jasiu! — zaczął pan Karol bez żadnej oznaki gniewu. — Przyjąłem cię do domu w nadziei, że potrafisz być wdzięcznym, a przynajmniej znośnym. Ty jednak byłeś skrytym, upartym, leniwym, nieokazywałeś nam żadnego przywiązania, a w dodatku wczoraj skrzywdziłeś moich synów. Ponieważ w społeczeństwie złe postępki nie mogą być przepuszczane bezkarnie i ponieważ sprawiedliwość wymaga przedewszystkiem usunięcia przyczyn złego, jestem więc zmuszony oddalić cię z mego domu. Pójdziesz do rzemiosła!...

Jaś stał nieporuszony; pan Karol zaś mówił dalej:

— A teraz, kiedy sprawiedliwość została wymierzona, my przebaczamy ci wszystko złe, któreś nam wyrządził... Tadziu podaj rękę Jasiowi!

— Ojcze! — odezwał się w tej chwili Edzio — mój brat nie może podawać ręki temu, który go w twarz uderzył!...

Na te słowa myśląca twarz pana Karola rozjaśniła się. Rzekł więc:

— Moje dzieci! Jakkolwiek zawziętość jest wadą, cieszę się jednak, że umiecie szanować swoją godność...

I powiedziawszy to znakomity filantrop, spojrzał naprzód na swoich synów, potem na model śmietnika, a wreszcie pocałował żonę w rękę i szepnął jej do ucha:

*

— Jest to jeden z piękniejszych dni w mojem życiu!...

W parę godzin potem wezwano Jasia powtórnie do gabinetu. Sierota zobaczył pana Karola na fotelu, a przy drzwiach jakiegoś człeczynę z bardzo czerwonym nosem.

— Jasiu — rzekł pan Karol — oto jest twój nowy opiekun, który cię dziś weźmie do siebie. Upakuj swoje rzeczy.

Gdy Jaś wrócił do swego pokoju, nieznajomy udał się za nim i biorąc poufale chłopca za klapę surducika, zapytał:

— Ten surdut to chyba nie w Warszawie robiony?

— W Warszawie, panie!... — odparł Jaś bojaźliwie.

— Jak się pouczysz u mnie, mój mały, ze sześć lat, to będziesz lepsze robił!... — mruknął nieznajomy opiekun, który był krawcem.

Pożegnanie sieroty z panem Karolem i jego żoną było bardzo oziębłe. Gdy Jaś wyszedł już na schody, wybiegła za nim stara kucharka i wsuwając mu w kieszeń kilka dziesiątek szepnęła:

— Bywaj zdrów, moje dziecko!.. może się tam ludzie lepiej na tobie poznają...

Jaś, który nigdy nie rozmawiał z tą kobietą, spojrzał na nią zdziwiony.

— Tak! tak! — mówiła dalej. — Dobre z ciebie dziecko i zdatne, tylko zwyczajnie sierota!..

Jaś rozpłakał się i pocałował ją w rękę. Z ust tej kobiety pierwszy raz dopiero usłyszał serdeczne słowo w tym domu grzecznych, moralnych i miłosiernych maryonetek.

(C. d. n.)

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

I. Bitwa pod Rajgrodem w 1831 r.

Ruch gwardyi moskiewskiej do Śniadowa a hr. Dybicza ku Ostrołęce odjęły dywizyi jenerała Giełguda możność przyłączenia się do głównych polskich sił, znajdujących się na lewym brzegu Narwi. Wprawdzie pozostała mu jeszcze droga na prawym brzegu rzeki, lecz droga bardzo trudna z powodu mnóstwa przepraw przez dopływy tej rzeki i w obec nieprzyjaciela. Jednak połączenie to było możliwe, gdyby Giełgud, słysząc dziesięć godzin z rzędu kanonadę od strony Ostrołęki, nie pozostawał na miejscu oczekując rozkazów.

Po bitwie ruch ten stał się nietylko trudniejszym, lecz prawie niemożliwym, bo Moskale wiedząc o odcięciu dywizyi, nie pozwoliliby jej spokojnie dokonać flankowego marszu.

Skrzynecki po bitwie natychmiast zebrał radę wojenną w Krukach i posłał rozkaz do Giełguda: przyłączyć się do niego. Głównodowodzący miał zamiar oczekiwać dywizyi na polu bitwy i dla tego napisał: „Mon général coute que coute rejoignez nous, j'ai resolu de m'enterrer ici.“

Na radzie wojennej większość była zdania, żeby odstąpić ku Modlinowi i pod przykryciem tej fortecy uporządkować i wzmocnić armię, zdezorganizowaną przegraną bitwą. Dywizye Giełguda miała także odstąpić ku Modlinowi, a dla ulżenia tej rajterady Skrzynecki miał posłać do Płocka lub Nieszawy statki przygotowane w Modlinie do zrobienia mostu.

Generał Henryk Dembiński zaproponował, żeby zamiast tego niebezpiecznego marszu, posłać dywizyę na Litwę, gdzie powstanie już się rozwinęło na wielką skalę. Dywizya ta mogłaby zrobić silną dywersyę na tyłach moskiewskiej armii i uzyskać takie korzyści, które mogłyby wynagrodzić stratę bitwy pod Ostrołęką. Generał Prądzyński nie zgadzał się z początku na ten plan, mówiąc, że dywizya zginie na Litwie, lecz widząc, że ruch jej dla przyłączenia się do głównej armii był zarówno niebezpieczny, musiał jak inni przystać na propozycyę Dembińskiego. Przyjęto go nie tylko z powodu, że mógł się udać pomyślnie, lecz zarówno dla tego, iż ukrywał omyłkę głównodowodzącego armii polskiej, który bez żadnego celu przyjął bitwę na polach Ostrołęki. W rzeczy samej, myśl ruszenia znaczniejszych sił, w przestrzeń między Niemnem a Drwiną, była niezmiernie śmiała i mogła pokrzyżować plany Moskali, którzy nie mogli nawet przypuścić, że armia rozbita odważy się przerzucić walkę na tyły zwycięzcy. Skrzyneckiemu plan ten podobał się, bo skrył omyłkę, która mogła pozbawić go zaufania armii i kraju. I w samej rzeczy, w relacyi o bitwie pod Ostrołęką głównodowodzący kazał umieścić ustęp, że krew przelana 25. kwietnia była ofiarą, której wymagała Polska i powstająca Litwa. Plan wkroczenia do Litwy przedstawiono jako cel bitwy pod Ostrołęką, a nie następstwo nieszczęśliwego jej przebiegu. Relacya od początku do końca była naciągnięta, lecz popularność Skrzyneckiego uratowana.

Zdawało się, iż najlepiej było wypełnienie planu poruczyć temu, który go powziął, to jest Dembińskiemu, tem więcej, że młody ten generał dał się już poznać z wojskowych swych zdolności i talentów, przy organizacyi pułków w południowych województwach i znany był ze swej energii, ruchliwości, łatwej decyzyi i umiejętności zyskania zaufania żołnierzy.

Lecz nie tak myślał Skrzynecki. Giełgud należał do arystokracyi, której nie chciał obrazić głównodowodzący, Giełgud był starym generałem i dowodził dywizyą; Dembiński zaś był dzieckiem rewolucyi, obojętnie spoglądał na prawa dawane urodzeniem i dotychczas dowodził tylko 2 tysiącami ludzi. Dla tego też wybór na naczelnika tej tak ważnej ekspedycyi padł na Giełguda. Po naradzie Skrzynecki zwrócił się do otaczających go generałów z zapytaniem, kto z nich zechce zawieźć mu ten rozkaz. Dembiński sam się ofiarował spełnić polecenie i prosił o pozwolenie pozostania przy dywizyi. Skrzynecki zgodził się i dał mu zapiskę następującej treści: „Generałowi Giełgudowi polecam udać się na Litwę i działać tam stosownie do ustnej instrukcyi, którą mu zakomunikuje jenerał Dembiński.“

O północy 26. maja z 135 ochotnikami poznańskich ułanów Dembiński wyruszył do Łomży. Cała ta młodzież składała się z bogatych obywateli z Poznańskiego i Galicyi; wszyscy wiedzieli, że przedsięwzięcie jest trudne i połączone z wielu niebezpieczeństwami, a jednak chętnie szli tam, gdzie wzywała ich ojczyzna.

Idąc całą noc po prawym brzegu Narwi, nad ranem oddział dopędził Giełguda w Staniszkach, dokąd dywizya jego przybyła tego dnia z Łomży.

Jeszcze przed Ostrołęcką bitwą dywizya Giełguda była wysłana do Łomży, a awangardą tej dywizyi dowodził Dembiński. Giełgud, bardzo mężny i śmiały osobiście, był pozbawiony wszelkich wojennych zdolności, była to dumna mierność, nie mogąca iść samodzielnie, a potrzebująca nieustannych wskazówek i instrukcyi. Człowiek ten nie odznaczał się ani głową, ani nauką, ani praktycznością; miał charakter ciężki, niezdecydowany, obrażający się za wszystko i pozwalający sobie obrażać drugich. Nie było dnia, żeby nie pokłócił się z kimkolwiek ze swych podwładnych i żeby spór ten nie prowadził do mściwych z jego strony postępków. Naturalnie Dembiński od natury posiadający charakter otwarty, gorący, unoszący się, człowiek zdolny i energiczny, musiał zetknąć się i pokłócić się ze swym przełożonym. W samej rzeczy tak się też i zdarzyło. Nie mogąc zgodzić się w poglądach, poróżnił się z Giełgudem, nagadał mu niegrzeczności, a potem prosił, żeby go przeniesiono do innej dywizyi. Głównodowodzący zgodził się na to. Na miejsce jego wyznaczono dowódcą awangardy w Szczuczynie pułkownika Sierakowskiego, a Dembiński wezwany do głównego sztabu przyjął udział w bitwie pod Ostrołęką. Co go pobudziło na nowo prosić o wysłanie na Litwę, trudno powiedzieć, lecz zdaje się mi, że miał nadzieję otrzymać niezależne dowództwo, czego domagała się jego gorąca i czynna natura, a czego przy głównej armii nie prędko mógł się doczekać.

Giełgud przyjął Dembińskiego tak, jak gdyby między nimi nigdy nic nie zaszło. Wzruszony do głębi duszy tą delikatnością Giełguda, Dembiński postanowił przeprosić go za swoją prędkość i dla tego wobec całego sztabu rzekł: „Panowie, czuję się winnym w obec generała i proszę go o przebaczenie, życząc żebyśmy wszyscy byli połączeni wzajemnem zaufaniem, jednością i szacunkiem, potrzebnemi nam w ekspedycyi, w której na tak długo zostaniemy oddzieleni od głównych sił naszych.“ Słowa te ucieszyły wszystkich, bo w położeniu tego korpusu potrzebna była jedność i zapomnienie uraz osobistych. Giełgud ucałował Dembińskiego; wzajemnie obiecali sobie pomoc, poparcie i zapomnienie dawnych niechęci, pamiętając tylko o wielkiem przedsięwzięciu, które im zostało poruczone.

Dembiński na nowo otrzymał dowództwo wojsk, któremi komenderował przed odjazdem.

W korpusie Giełguda były następujące części:

1. 7 liniowy pułk, 3 bataliony (starych wojsk) i 19 liniowy pułk składający się także z trzech batalionów nowopobranych. Brygadą tą dowodził jenerał Roland.

2. Druga brygada jenerała Valentyna Hauteriva składała się z 4go pułku strzelców pieszych, 3 batalionów (starych wojsk) i z 2 pułku szaserów, mającego także 3 bataliony młodych wojsk.

3 Dwanaście dział pozycyjnych i 10 lekkich pod dowództwem pułkownika Piętki. Na każde działo było 200 ładunków.

4. 150 saperów (stare wojsko) pod dowództwem pułkownika Wiśniowskiego.

5. Dwa szwadrony kawaleryi kaliskiej—260 koni (nowe wojsko.)

Ogółem zaś $12\frac{1}{2}$ batalionów piechoty, 2 szwadrony i 22 działa, czyli około 8 tysięcy żołnierzy.

Oddział Dembińskiego, którym w czasie jego niebytności, jak wiemy, dowodził Sierakowski, składał się:

1. Z 2 batalionów 18 liniowego pułku (nowojsko.)

2. Z 1 batalionu 3 pułku szaserów (nowe wojsko.)

3. Ze szwadronu poznańskiej kawaleryi przybyłego z Dembińskim 135 l. (nowe wojsko.)

4. 2 szwadronów Płockiego ułańskiego pułku (220 ludzi), (nowe wojsko).

5. 1 szwadronu 3 ułańskiego — 130 ludzi (stare wojsko.)

6. 4 dział pieszej artyleryi.

Razem więc Dembiński miał 3 bataliony piechoty, 5 szwadronów kawaleryi i 4 działa; ogółem 2.350 ludzi.

W oddziale partyzanckim Zaliwskiego, który przyłączył się do dywizyi, było 1.500 ochotników. Cała siła dywizyi Giełguda wynosiła 12 tysięcy ludzi.

Dembiński przywiózł następujący rozkaz głównodowodzącego: „Owładnąć Kownem, ztamtąd wyruszyć do Połągi, łącząc wszystkie oddziały powstańcze Żmudzi, żeby za ich pomocą owładnąć miastem, do którego według słów Skrzyneckiego miała nadejść francuska eskadra i przywieść dla ekspedycyjnego korpusu i dla Litwy broń i ładunki w potrzebnej ilości.“

Czy odpowiadał plan ten wymogom położenia głównych polskich sił, lub odciętej dywizyi, lub nareszcie powstałej Litwy? Nie. Wyznaczać plan czynności w kraju, gdzie cały naród powstały dopomaga, gdzie każda rzecz jest przypadkowa, gdzie jeniusz wodza winien kierować działaniem i korzystać z każdej okoliczności, było największą omyłką, tem więcej, że plan ten był ułożony bez wszelkiego pojęcia o znaczeniu teatru wojny dla obu stron. Przypadkowe skierowanie dywizyi Giełguda na Litwę było następstwem przegranej, odcięcia, i odejmowało u żołnierzy i dowódców tak potrzebną wojsku wiarę w siebie i pragnienie działać zaczepnie. W położeniu Giełguda potrzeba było z samego początku zyskać takie korzyści, któreby podniosły ducha nie tylko w oddziale, lecz w całym kraju i kazałyby zapomnieć o klęsce. To łatwo było osiągnąć, wyruszywszy ku Wilnu i owładnąwszy stolicą Litwy, a zniszczywszy poprzednio słaby oddział hr. Sakena zagradzający drogę. Działanie podobne, uwieńczone szczęśliwym skutkiem, wstrzęsłoby całym krajem, elektryzując wszystkich wahających się jeszcze i odbiłoby się na działaniach głównej moskiewskiej armii, która dla obrony swych komunikacyi musiałaby oddzielić bardzo znaczne siły, a przez to osłabiłaby siebie w Polsce. Dla Moskali największe zwycięztwa w Polsce nie mogły wynagrodzić straty kraju na głównych komunikacyach armii. (C. d. n.)

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XI.

W którym uczony świat Gallii goni myślą po nieskończonościach przestrzeni.

Upłynął miesiąc. Gallia nie przestawała grawitować, unosząc swój mały światek z sobą. Mały światek w istocie, ale mało dotychczas uległy wpływowi ludzkich namiętności! Chciwość, egoizm, reprezentowane były tylko przez Hakhabuta, tę smutną próbkę rasy ludzkiej, i to była jedyna plama do zaznaczenia na tym mikrokosmie, oddzielonym od ludzkości.

Zresztą ci Gallijczykowie mogli się uważać tylko za podróżników, odbywających przejażdżkę dokoła świata słonecznego. Ztąd myśl rozlokowania się, jak można najwygodniejszego, ale tylko na czas nie długi. Po ukończeniu tej podróży do koła świata, po dwóch latach rozłączenia się, okręt, który ich unosił w przestworach wszechświata, przybić ma znowu do dawnego sferoidu, i jeżeli obliczenia profesora są zupełnie dokładne— a potrzeba aby były takiemi — passażerowie Gallii zeszliby na lądy ziemskie.

Prawda, że przybicie okrętu „Gallia“ do ziemi nie mogłoby się obejść bez nadzwyczajnych trudności, bez niebezpieczeństw niezwyczajnie straszliwych. Ale o tem można było później myśleć, gdy stosowny czas nadejdzie.

Tak więc hrabia Timaszew, kapitan Servadac, porucznik Prokop, nabierali coraz więcej pewności ujrzenia swoich bliźnich na ziemi w stosunkowo krótkim czasie. Nie potrzebowali więc zajmować się gromadzeniem zapasów na przyszłość, uprawiać, gdy przyjdzie ciepła pora roku, żyznych części wyspy Gurbi, zachowywać rozmaite rodzaje zwierząt, czworonogów i ptactwa, które przeznaczali przedtem na rozrodzenie świata zwierzęcego na Gallii.

Ale ileż razy rozmawiali o tem, coby też należało im robić dla uczynienia swego asteroidy mieszkalnym, gdyby na nim musieli na zawsze pozostać. Ile projektów do wykonania, ile robót do podjęcia, ażeby zapewnić istnienie tego małego grona istot, które zima przeszło dwudziestomiesięczna czyniła tak zależnem!

Najbliższego 15. stycznia kometa miał stanąć na najdalszym punkcie wielkiej osi, to jest w punkcie odsłonecznym (aphelie). Przeszedłszy ten punkt, kometa miał powracać ku słońcu ze wzrastającą szybkością. Dziewięć do dziesięciu miesięcy miało upłynąć, zanimby upał słoneczny wyzwolił morze z lodów i ziemię uczynił rodzajną. W tym to czasie *Dobryna* i *Hanza* przewiozłyby ludzi i zwierzęta na wyspę Gurbi. Ponieważ lato gallickie miało być krótkie, choć bardzo gorące, zabranoby się więc bystro do uprawy ziemi. Zasiany w należytym czasie, grunt ten wydałby dostateczną dla wykarmienia wszystkich ilość zboża i paszy. Przed powrotem zimy odbyłaby się kośba i żniwo. Żyłoby się na wyspie szerokiem i zdrowem życiem myśliwych i rolników. Zapowrotem zimy znówby wrócono do życia troglodytów w komórkach góry ognioziejnej. Rój pszczół gallickich wleciałby do ula Niny, aby tam przepędzić długą i ciężką porę zimową.

Tak, koloniści schowaliby się do swego ciepłego mieszkania! Jednakże, czyżby nie robili jakich odległych poszukiwań w celu odkrycia kopalni paliwa, jakiegoś pokładu węgla łatwego do dobywania? Nie staralizby się zbudować na samejże wyspie Gurbi jakiegoś mieszkania bardziej wygodnego, bardziej zastosowanego do potrzeb kolonii i do klimatycznych warunków Galii?

Zrobiliby to z pewnością. Próbowaliby przynajmniej, ażeby uniknąć tego długiego uwięzienia w pieczarach Ziemi Gorącej — uwięzienia smutniejszego jeszcze pod względem moralnym, jak pod fizycznym. Potrzeba było być Palmirynem Rosette, zagłębionym w swoich rachunkach, ażeby nie czuć ważnych stron ujemnych tego życia, aby chcieć zamieszkać w tych warunkach na Galli *ad infinitum!*

Zresztą straszliwa ewentualność groziła ciągle mieszkańcom Ziemi Gorącej. Możnaż było twierdzić na pewno, że nie zjawi się ona w przyszłości. Możnaż było utrzymywać nawet, że nie nastąpi to przedtem, zanim słońce wróci komecie ciepło, potrzebne do tego, by można było żyć na nim? Pytanie było ważne i nieraz rozbierane, o ile dotyczyło teraźniejszości, bo co się tyczy przyszłości, to Gallijczycy spodziewali się jej uniknąć, powracając na ziemię.

W istocie, czyż nie mogłoby się zdarzyć wygaśnięcie wulkanu, który ogrzewał Ziemię Gorącą? Czyż ognie wewnętrzne Gallii były niewyczerpane? Po wygaśnięciu wulkanu, w cóżby się obrócili mieszkańcy Ula Niny? Mieliż się wkopywać aż we wnętrze komety, aby tam znaleść temperaturę znośną? A i tam, czy mogliby stawiać opór zimnu zewnętrznemu?

Rzecz widoczna, że w najdalszej przyszłości, jaką sobie można wyobrazić, Gallię czekał los, który zdaje się być udziałem wszystkich światów. Wewnętrzne jej ognie miały wygasnąć. Stać się miała martwem ciałem niebieskiem, jakiem dziś jest księżyc, jakiem kiedyś będzie ziemia. Ale ta przyszłość nie zajmowała obecnie Gallijczyków — tak się im przynajmniej zdawało — i liczyli oni, że pierwej opuszczą Gallię, zanim się stanie niemieszkalną.

Bądź co bądź wybuch ognia, jak to się często zdarza w wulkanach ziemskich, mógł każdej chwili nagle ustać, przedtem nimby się kometa dostatecznie zbliżył do słońca. A w takim razie, zkąd dostać tej lawy, która szerzyła tak użyteczne ciepło aż w głębiach skały? Jakie paliwo dostarczyłoby dość cieplika dla utrzymania średniej temperatury, która pozwalała bezkarnie znosić chłód sześćdziesięciu stopni poniżej zera?

Taką była ta ważna kwestya. Na szczęście żadna się dotychczas nie objawiła zmiana w wylewie materyi wybuchowych. Wulkan funkcyonował z regularnością i, możnaby powiedzieć, ze spokojem dobrze wróżącym. Tak więc pod tym względem nie należało się lękać ani przyszłości, ani teraźniejszości. Takie było zdanie kapitana Servadaca, zawsze zresztą będącego dobrej myśli.

15 grudnia Gallia znajdowała się o dwieście szesnaście milionów mil od słońca, prawie u końca wielkiej osi swej drogi. Grawitowała teraz nie z większą szybkością, jak jedenastu do dwunastu milionów mil na miesiąc.

Nowy świat otworzył się wówczas przed oczami Gallijczyków, a w szczególności Palmiryna Rosette. Po obserwacyi Jowisza z tak bliskiej odległości, z jakiej żaden śmiertelnik przed nim nie spoglądał na tego planetę, zabrał się profesor teraz do obserwowania Saturna.

W każdym razie stosunki sąsiedztwa nie były te same. Trzynaście tylko milionów mil oddzielało kometę od świata Jowiszowego, sto siedmdziesiąt trzy miliony mil oddzielały tegoż kometę od ciekawego planety. Żadnych więc opóźnień nie można się było lękać z tego powodu, oprócz tych, które były z góry obliczone, a zatem niczego ważnego nie należało się lękać.

Jakkolwiekbądź, Palmiryn Rosette mógł obserwować Saturna z tak bliska, z jak bliska obserwowałby go na ziemi, gdyby ten planeta przysunął się do niego o pół diametru swej drogi około słońca.

Daremnie było go pytać o jakieś szczegóły o Saturnie. Exprofesor nie czuł już potrzeby nauczania. Nie łatwo go było ściągnąć z jego obserwatoryum i zdawało się, że szkła lunety, w dzień i w nocy przyszrubowane były do jego oczu.

Na szczęście biblioteka *Dobryny* miała kilka książek elementarnych o kosmografii i dzięki porucznikowi Prokopowi, ci z Gallijczyków, których zajmowały te kwestye astronomiczne, mogli się dowiedzieć, co to był ten świat Saturna.

Naprzód Ben-Zuf był zadowolony, kiedy mu powiedziano, że gdyby Gallia oddaliła się od słońca na odległość, w której grawitował Saturn, to nie możnaby było ziemi dojrzeć gołem okiem. Otóż wiadomo, że ordynansowi szczególnie chodziło o to, aby jego glob ziemski nie znikł mu z oczu.

— Dopóki się widzi ziemię, nie ma nic straconego — powtarzał.

I w istocie na odległości, jaka oddziela Saturna od słońca, ziemia byłaby niewidzialną nawet dla najlepszych oczu.

Saturn w owym czasie bujał w przestrzeni o sto siedmdziesiąt pięć milionów mil od Gallii, a zatem o trzysta sześćdziesiąt cztery miliony sto piędziesiąt tysięcy mil od słońca. Z tej odległości otrzymywał tylko setną część tej części światła i ciepła, którą promienna gwiazda posyłała ziemi.

Z książką w ręku dowiedziano się, że Saturn odbywa swój obrót około słońca we dwadzieścia dziewięć lat i 167 dni, przebiegając z szybkością ośmiu tysięcy stu pięćdziesięciu ośmiu mil na godzinę, drogę wynoszącą dwa miliony dwieście ośmdziesiąt siedm milionów pięćset tysięcy mil, „wciąż nie licząc centymów,“ jak powiadał Ben-Zuf. Obwód tego planety na równiku wynosi dziewięćdziesiąt tysięcy trzysta ośmdziesiąt mil. Powierzchnia jego ma 40 miliardów kwadratowych kilometrów, objętość wynosi sześćset sześćdziesiąt sześć miliardów sześciennych kilometrów. Jednem słowem Saturn jest 735 razy większy od ziemi, a zatem mniejszy od Jowisza. Co się tyczy massy planety, to jest ona tylko sto razy większą od massy ziemskiej, co wskazuje, że gęstość jej jest mniejszą od gęstości wody. Obraca się około swej osi w 10 godzinach 29 minutach, ztąd więc rok jego składa się z 8,630 dni, a pory roku, zważywszy znaczne pochylenie jego osi ku powierzchni ekliptyki, trwają każda po ziemskich lat siedm.

Saturnijczycy — jeżeli są jacy — muszą mieć wspaniałe noce, dzięki ośmiu księżycom towarzyszącym planecie. Noszą one bardzo mitologiczne nazwiska: Midas, Encebades, Thetis, Dione, Rhea, Tytan, Hyperion, Jafet. Jeżeli obrót Midasa nie trwa więcej jak dwadzieścia dwie godziny i pół, obrót Jafeta odbywa się w przeciągu 69 dni. Jeżeli Jafet grawituje w odległości 910,000 mil od powierzchni Saturna, Midas odległy jest tylko 34,000 mil, a zatem prawie trzy razy bliższy Saturna niż księżyc ziemi. Muszą być wspaniałe te noce, jakkolwiek słońce użycza słabiej swego światła.

Bezwątpienia jeszcze piękniejszemi czyni te noce potrójny pierścień okalający tego planetę. Saturn zdaje się być osadzony w misternej oprawie. Spostrzegacz, umieszczony dokładnie pod tym pierścieniem, który wówczas przechodzi przez zenit nad jego głową w odległości pięciu tysięcy stu sześćdziesięciu pięciu mil, dostrzega tylko wąziutki pasek, którego szerokość Herschell ocenia na sto mil. Jest to więc jakby świetlana niteczka w przestrzeni rozciągnięta. Ale niech się spostrzegacz usunie trochę na jedną lub drugą stronę, a ujrzy oddzielające się od siebie trzy pierścienie koncentryczne, najbliższy, ciemny i przeźroczysty, szeroki na trzy tysiące sto dwadzieścia sześć mil, pierścień pośredni, szeroki siedm tysięcy trzysta ośmdziesiąt ośm mil i bardziej świetny od samego planety, nakoniec pierścień zewnętrzny, mający 3,666 mil szerokości i przedstawiający oczom szarawą barwę.

Jaką jest całość tego pierściennego dodatku, który się obraca na swojej własnej płaszczyźnie raz w dziesięć godzin trzydzieści dwie minuty? Z jakiej materyi utworzony ten dodatek? Jakim sposobem opiera się rozłamaniu? nikt tego nie wie. Zdaje się, jakby Stwórca, pozwalając mu istnieć, chciał nauczyć ludzi, jakim sposobem tworzyły się powoli wszystkie ciała niebieskie. W istocie ten pierścień jest resztką mgławicy, która powoli się skoncentrowawszy, stała się Saturnem. Dla niewiadomych przyczyn i sam on zgęstniał, i gdyby się teraz połamał, to kawałki jego albo by spadły na Saturna, alboby utworzyły dla tego planety tyleż nowych satellitów.

Jakkolwiekbądź, dla Saturnijczyków zamieszkujących swego planetę pomiędzy 45° szerokości a równikiem ten potrójny pierścień musi wywoływać bardzo ciekawe zjawiska. To zarysowuje się na widnokręgu, jak olbrzymia arkada w środku sklepienia przerwana cieniem, który Saturn rzuca w przestrzeń; to znów pojawia się w całości jako półobwódka promienista. Bardzo często ten pierścień zaciemnia słońce, które znika i pojawia się w czasach matematycznie oznaczonych, ku wielkiej bez wątpienia radości saturnijskich astronomów. Jeśli się do tego zjawiska doda wschodzenie i zachodzenie ośmiu księżyców, z których jedne w pełni, inne w kwadrze, tu tarcze posrebrzane, tam nów rogaty, to niebo na Saturnie podczas nocy musi przedstawiać nieporównany widok.

Gallijczycy nie mogli obserwować wszystkich wspaniałości tego świata. Byli zanadto od niego oddaleni. Astronomowie ziemscy, uzbrojeni w szkła swoje, o tysiąc razy są bliżsi tego planety, i książki *Dobryny* nauczyły kapitana Servadac i jego towarzyszy daleko więcej niż ich własne oczy. Ale nie skarżyli się na to — gdyż sąsiedztwo tych wielkich ciał niebieskich przedstawiało wielkie niebezpieczeństwa dla ich maleńkiego komety.

Nie mogli oni przeniknąć wzrokiem dalej po za Uranusa. Ale, jakto już wspomniano, ten główny planeta naszego systemu, ośmdziesiąt dwa razy większy od ziemi, z której w najbliższej odległości przedstawiał się tylko jako gwiazda szóstej wielkości, na Gallii był widziany bardzo wyraźnie gołem okiem. Jednakże nie widać było żadnego z jego ośmiu satellitów, których pociąga za sobą w swoim obiegu eliptycznym, którego dopełnia w ośmdziesięciu czterech latach, a który go oddala, przeciętnie biorąc, na 729 milionów mil od słońca.

Co się tyczy ostatniego planety systemu słonecznego — ostatniego, dopóki przyszły Leverrier nie odkryje innego, bardziej oddalonego — to Gallijczycy nie mogli go dostrzedz. Palmiryn widział go bez wątpienia przez swoję lunetę; ale nikogo nie raczył dopuścić do swego obserwatoryum i musiano się kontentować obserwacyą Neptuna... w książkach kosmograficznych.

Średnia odległość tego planety od słońca wynosi miliard sto czterdzieści milionów mil, a czas trwania jednego obrotu około słońca obliczony na 165 lat. Neptun zatem przebiega swoją niezmierzoną drogę, wynoszącą 7 miliardów 170 milionów mil z szybkością dwudziestu tysięcy kilometrów na godzinę, w kształcie kuli sto pięć razy większej od ziemi; około niego krąży satellita w odległości stu tysięcy mil.

Ta odległość około tysiąca dwustu milionów mil, w której grawituje Neptun, zdaje się być granicą systemu słonecznego. A przecież, jakkolwiek olbrzymim jest dyametr tego świata, jest on nic nie znaczącym w porównaniu z dyametrem grupy gwiazd, do której zaliczają naszą gwiazdę promienną.

Słońce, w istocie, zdaje się stanowić część tej wielkiej mgławicy drogi mlecznej, wśród której jaśnieje tylko jako skromna gwiazda czwartej wielkości. Gdzieżby się podziała Galia, gdyby się wymknęła z pod słonecznej siły przyciągania? Do jakiego nowego centru przymknęłaby, przebiegając przestrzenie gwieździste? Być może iż do najbliższej z gwiazd drogi mlecznej.

Otóż tą gwiazdą jest Alfa w konstellacyi Centaura, i światło, które przebiega siedmdziesiąt siedm tysięcy mil na sekundę, potrzebuje trzech i pół lat, aby się ze słońca dostać na tę gwiazdę. Jakaż to więc odległość? Taka, że astronomowie, aby ją w cyfry ująć, musieli wziąć miliard za jedność, i mówią, że Alpha jest w odległości ośmiu tysięcy „miliardów“ mil.

Czy wiele takich odległości gwiazdowych jest znanych? Najwięcej ośm ich zmierzono, i pomiędzy głównemi gwiazdami, do których zastosowano to mierzenie, znajduje się Waga, odległa na pięćdziesiąt tysięcy miliardów mil, Syriusz na pięćdziesiąt dwa tysiące miliardów mil, Gwiazda polarna na sto siedmnaście tysięcy sześćset miliardów mil, Koza na sto siedmdziesiąt tysięcy czterysta miliardów mil *). Ta ostatnia liczba składa się już z szeregu piętnastu cyfr.

Ażeby dać pojęcie o odległościach, weźmy za podstawę szybkość światła i trzymając się genialnych uczonych, rozumujmy w następujący sposób:

„Przypuśćmy, że jest istota, obdarzona potęgą nieskończonego wzroku, i umieśćmy ją na Kozie. Jeżeli spojrzy na ziemię, to będzie świadkiem wypadków, które się stały lat temu siedmdziesiąt dwa. Jeżeli ta istota przeniesie się na gwiazdę dziesięć razy dalszą, to ujrzy fakta, które się stały siedmset dwadzieścia lat temu. Dalej jeszcze, na odległość, do której przebycia światło potrzebuje 1800 lat, świadkiem będzie wielkiej sceny śmierci Chrystusa. Jeszcze dalej, na odległości, którą promień świetlny przebywa w sześć tysięcy lat, spoglądać może na zniszczenie sprawione powszechnym potopem. Nakoniec jeszcze dalej, ponieważ przestrzeń jest nieskończoną, mogłaby ta istota zobaczyć, podług tradycyi biblijnej, Boga stwarzającego światy. W istocie wszystkie fakta są niejako odbite w przestrzeni, i nic się nie może zatrzeć, cokolwiek się raz stało w niebieskim wszechświecie.

Może i miał racyą awanturniczy Palmiryn Rosette, że chciał przebiegać po tym świecie gwiaździstym, gdzie tyle cudów czarowałoby jego oczy. Gdyby kometa jego wchodził kolejno w służbę to jednej, to drugiej gwiazdy, ileżby systemów gwiazdowych mógł obserwować! Gallia posuwałaby się wraz z temi gwiazdami, których nieruchomość jest tylko pozorną; tak naprzykład Arcturus porusza się z szybkością dwudziestu dwóch

*) Wszędzie tu trzeba rozumieć mile francuskie (lieues).

mil na sekundę. Samo słońce przebiega rocznie sześćdziesiąt dwa miliony mil, kierując się ku konstellacyi Herkulesa. Ale taką jest odległość tych gwiazd, że ich wzajemne położenie nie mogło się jeszcze zmienić dla oka ziemskiego badacza.

Przecież to posuwanie się wiekowe musi kiedyś zmienić formę konstellacyi, każda bowiem gwiazda posuwa się, zdaje się posuwać z nie jednaką szybkością. Astronomowie mogli wskazać położenia, w jakich się gwiazdy znajdą wzajemnie względem siebie po niezmiernej ilości lat. Odrysowano figury pewnych konstellacyi, tak jak będą wyglądały za pięćdziesiąt tysięcy lat. Przedstawiają one naprzykład zamiast nieregularnego czworoboku Wielkiej Niedźwiedzicy długi krzyż rospostarty na niebie, a zamiast pięciokąta konstellacyi Oriona, prosty czworokąt.

Ale ani obecni mieszkańcy Galli, ani mieszkańcy ziemscy nie mogliby sprawdzić własnemi oczami tych kolejnych przesuwań się. Nie tego zjawiska mógłby szukać Palmiryn Rosette w gwiaździstym świecie. Gdyby jakaś okoliczność oderwała kometę od przyciągającego środka, ażeby go zrobić niewolnikiem innej gwiazdy, wówczas wzrok astronoma oglądałby cuda, o jakich nasz system słoneczny nie może dać żadnego pojęcia.

Bo rzeczywiście dalsze grupy planetarne nie zawsze są rządzone jednem tylko słońcem. System monarchiczny zdaje się być wygnany z niektórych punktów nieba. Jedno słońce, dwa słońca, sześć słońc zależnych od siebie, grawituje pod wzajemnymi wpływami. Są to gwiazdy rozmaitego koloru: czerwone, żółte, zielone, pomarańczowe, błękitne. Jak cudowne muszą być kontrasty światła na powierzchni ich planet. I któż wie, czy Gallia nie ujrzy na swym widnokręgu dni, zabarwionych kolejno wszystkimi kolorami tęczy?

Ale nie dano jej było grawitować w obrębie przyciągania nowego centrum, ani się wmięszać do masy gwiazd, którą potężne teleskopy mogły rozłożyć, ani się zgubić w punktach gwiazdzistych częściowo rozpoznanych, ani wreszcie wśród zbitych mgławic, które się opierają najpotężniejszym reflektorom — mgławic, których astronomowie znają przeszło pięć tysięcy rozproszonych w przestrzeni.

Nie! Gallia nie miała nigdy opuścić świata słonecznego, ani stracić ziemi z oczu. A opisawszy orbitę, wynoszącą około trzystu sześćdziesięciu milionów mil, zrobiła przecież tylko nic nie znaczącą drogę w tym wszechświecie, którego bezmiar nie ma granic.

ROZDZIAŁ XII.

O tem, jak obchodzono dzień 1. stycznia na Gallii i w jaki sposób zakończył się ten dzień uroczysty.

Jednakże w miarę oddalania się Gallii od słońca zimno znacznie wzrastało. Już temperatura spadła na czterdzieści dwa stopnie poniżej punktu zamarzania. W tych warunkach termometr z żywem srebrem nie mógł już być do użycia, ponieważ żywe srebro twardnieje przy temperaturze —42°. Zwrócono się więc do alkoholicznego termometru *Dobryny*, którego kolumna opadła na pięćdziesiąt trzy stopnie poniżej zera.

W tym samym czasie skutek przewidziany przez porucznika Prokopa objawił się na brzegach tej przerębli, w której na czas zimy umieszczono oba statki. Warstwy lodowe, ruchem powolnym, ale nieprzepartym, powoli gęstniały pod zewnętrznym spodem *Hanzy i Dobryny*. Statki te stojąc obok skalistego przylądku, który je zakrywał, podniosły się w swoich lodowych miednicach i dosięgały już wysokości pięćdziesięciu stóp nad powierzchnią morza gallickiego. *Dobryna*, lżejsza od Hanzy, nieco wyżej od niej się podniosła. Żadna siła ludzka nie zdołałaby powstrzymać tej pracy podnoszenia.

Porucznik Prokop był bardzo zaniepokojony przyszłym losem. Zabrano z niej wszystko, co zawierała w sobie. Pozostała tylko łupina okrętowa, maszty i machina. Ale czyż nie było przeznaczeniem tej łupiny dać schronienie w razie potrzeby małej kolonii. Gdyby się rozbiła przy odwilży wskutek upadnięcia, któremu niepodobna było zapobiedz, i gdyby Gallijczycy zmuszeni byli opuścić Ziemię Gorącą, jakiż innyby im pozostał sposób przeprawy?

Tym innym środkiem nie byłaby Hanza, której podobny los groził. *Hanza*, źle osadzona w swojej misie, już się pochylała pod kątem, który zaniepokaja. Niebezpiecznie już tam było mieszkać. Jednakże Izaak nie myślał opuszczać swoich towarów, nad którymi chciał czuwać dniem i nocą. Czuł on, że naraża swoje życie, ale czuł także, że majątek jego jest jeszcze więcej narażony, i wzywając za każdym wyrazem Przedwiecznego, pozwalał sobie przeklinać go za wszystkie cierpienia, których doznawał.

W tych okolicznościach kapitan Servadac powziął pewne postanowienie, któremu Izaak musiał się poddać. Jeżeli istnienie Izaaka Hakhabuta nie było niezbędnem dla rozmaitych członków gallickiej kolonii, to ładunek jego miał niezaprzeczoną wartość. Potrzeba więc było przedewszystkiem ocalić ładunek przed bardzo groźnem niebezpieczeństwem. Kapitan Servadac chciał naprzód zastraszyć Hakhabuta własnym jego losem, ale to mu się nie udało. Izaak nie chciał się przenieść.

— Zrobisz, jak zechcesz — odpowiedział wówczas Hektor Servadac — ale ładunek pański będzie przeniesiony do magazynów Ziemi Gorącej.

Lamenta, które podniósł Izaak, jakkolwiek były wzruszające, nie poruszyły nikogo i 20 grudnia rozpoczęło się przenoszenie ładunku.

Zresztą Izaak mógł się i sam instalować w Ulu Niny, i jak przedtem czuwać nad swymi towarami, sprzedawać, handlować podług cen i wag umówionych. Żadnaby go krzywda nie spotkała. Rzeczywiście, jeżeli Ben-Zuf pozwalał sobie ganić kapitana, to tylko za to, że ten tak się pobłażliwie obchodził z nędznym handlarzem.

W głębi ducha Izaak Hakhabut mógł się tylko cieszyć z tego postanowienia generalnego gubernatora. Brało ono w opiekę jego interes, przenosiło mienie jego w bezpieczne miejsce, a przytem nie miał on nic płacić za wyladowanie statku, ponieważ działo się to „wbrew jego woli.“

Przez wiele dni Hiszpanie i Rosyanie zajmowali się czynnie tą pracą. Ciepło odziani, szczelnie zakapturzeni, bezkarnie mogli znosić tak niską temperaturę. Musieli tylko unikać dotknięcia gołemi rękami metalowych przedmiotów, które przenosili. Skóra z palców zostawała na tych przedmiotach, jak gdyby one były rozpalone w ogniu do czerwoności, gdyż skutek zupełnie był taki, jak od oparzenia się. Cała więc ta robota odbyła się bez przypadku i ładunek *Hanzy* umieszczony został wreszcie w obszernych galeryach Ula Niny.

Porucznik Prokop czuł się uspokojonym dopiero, gdy cała rzecz została ukończoną.

Ale wówczas Izaak Hakhabut, nie mając żadnej racyi dłużej mieszkać na statku, przeniósł się do galeryi przeznaczonej dla jego towarów. Potrzeba przyznać, że nie zawadzał nikomu. Rzadko go kiedy widywano. Sypiał koło swego mienia, karmił się swojem mieniem. Lampa spirytusowa służyła mu do przyrządzania potraw, bardziej niż skromnych. Mieszkańcy Ula Niny mieli tylko wtedy z nim stosunki, gdy trzeba było coś sprzedać lub kupić. To tylko jest pewną rzeczą, że powoli wszystko złoto i srebro małej kolonii spłynęło do szkatułki o potrójnej kryjówce, do której klucz nie opuszczał nigdy Izaaka Hakhabuta.

Zbliżał się 1. stycznia podług kalendarza ziemskiego. Za kilka dni miał upłynąć rok od czasu spotkania się globu ziemskiego z kometą, od owego uderzenia, które oddzieliło 36 istot ludzkich od innych. Bądź co bądź, żadnej z tych istot nie zabrakło dotąd. W nowych warunkach klimatycznych zdrowie ich doskonale się zachowywało. Stopniowe obniżanie się temperatury, bez nagłych zwrotów, bez przemian, możnaby dodać bez najmniejszego wiatru, nie przyczyniło im nawet kataru. Nic więc zdrowszego nie było nad klimat komety i wszystko pozwalało przypuszczać, że jeśli obliczenia profesora były dokładne, to Gallia powracając do ziemi, wszystkich jej zwróci Gallijczyków.

Jakkolwiek ten Nowy Rok nie był dniem rozpoczęcia nowego roku gallickiego, jakkolwiek rozpoczynał tylko drugą połowę obrotu słonecznego Galli, przecież kapitan Servadac, nie bez racyi, chciał, aby go obchodzono z pewną uroczystością.

— Nie można — mówił do hrabiego i porucznika Prokopa — aby nasi towarzysze zobojętnieli dla spraw ziemskich. Mają powrócić na glob ziemski, a gdyby nawet nie powrócili, to z pożytkiem jednak będzie dla nich, jeżeli się chociażby wspomnieniem wiązać będą ze starym światem. Tam na ziemi obchodzić będą Nowy Rok, obchodźmyż go my na komecie. Ta współczesność uczuć jest dobrą rzeczą. Nie potrzeba zapominać, że tam na ziemi muszą się nami zajmować. Z rozmaitych punktów globu widzą tam Gallię, grawitującą w przestrzeni, widzą jeżeli nie gołem okiem, z powodu jej małości i oddalenia, to za pomocą lunet i teleskopów. Pewien rodzaj węzła naukowego łączy nas z globem ziemskim, i Gallia przytem zawsze stanowi część systemu słonecznego.

— Zgadzam się z panem, kapitanie — odpowiedział hrabia. — Jest to absolutny pewnik, że obserwatorya muszą się bardzo zajmować nowym kometą. Wyobrażam sobie, że w Paryżu, Petersburgu, Greenwich, Cambridge, w Cap i Melbourne muszą często zwracać potężne szkła na naszego asteroidę.

— Musi on tam być bardzo w modzie — odpowiedział kapitan Servadac — i dziwiłbym się bardzo, gdyby naukowe przeglądy, dzienniki, nie opowiadały publiczności obu lądów o wszystkich czynach i ruchach Gallii. Myślmy więc o tych, którzy myślą o nas, i przez dzień 1. stycznia ziemskiego połączmy się w uczuciach z nimi.

— Sądzisz pan — powiedział wówczas porucznik Prokop — że na ziemi zajmują się kometą, który ją potrącił? Ja tak samo myślę, ale dodam, że dzieje się to nie z pobudek naukowych lub ciekawości, ale dla innych powodów. Obserwacye, którym się oddawał nasz astronom, musiały być także na pewne czynione na ziemi i

z niemniejszą dokładnością. Tablice dzienne Gallii muszą być oddawna już tam nakreślone. Znają już tam zasadnicze dane nowego komety. Wiedzą, jaką drogę przebiega w przestrzeni, oznaczyli gdzie i jak powinien spotkać ziemię. W jakim punkcie ekliptyki, w której sekundzie, w którem nawet miejscu przyjdzie potrącić na nowo glob ziemski, wszystko to już najpewniej obliczono z matematyczną ścisłością. Ta pewność spotkania musi głównie zajmować tam umysły. Idę dalej, i ośmielam się twierdzić, że przedsięwzięto na ziemi środki ostrożności, ażeby złagodzić straszliwe skutki nowego uderzenia, jeżeli w ogóle możliwą jest jakakolwiek ostrożność.

Te słowa dyktowała porucznikowi Prokopowi logika, powinien więc był mieć słuszność. W istocie powrót Gallii, dokładnie obliczony, musiał wszystkie inne myśli ziemskie na dalszy plan usuwać. Musiano myśleć o Gallii, nie tyle żądając jej powrotu, ile lękając się jego. Prawda, że i Gallijczycy, pragnąc powrotu, nie mogli się nie obawiać następstw nowego starcia. Jeżeli na ziemi, jak sądził porucznik Prokop, przedsięwzięto środki dla złagodzenia klęski, nie przystawałoż zająć się tem i na Gallii? Kwestyę tę należało zbadać później.

Jakkolwiek bądź, postanowiono obchodzić uroczystość 1. stycznia. Nawet Rosyanie mieli się połączyć z Francuzami i Hiszpanami, jakkolwiek w ich kalendarzu rok nowy nie zaczynał się od tego dnia. *)

Nadeszło Boże Narodzenie. Rocznica urodzin Chrystusa była religijnie obchodzoną. Jeden tylko Izaak zdawał się dnia tego jeszcze uporczywiej kryć się w swym tajemniczym zakątku.

Przez ostatni tydzień roku Ben-Zuf był bardzo zajęty. Chodziło o ułożenie zajmującego programu. Rozrywki na Gallii nie mogły być zbyt rozmaite. Postanowiono więc, że uroczysty dzień rozpocznie się od olbrzymiego śniadania, a skończy się wielką przechadzką po lodzie w stronę wyspy Gurbi. Powrót będzie nocą przy świetle pochodni, które miano sfabrykować przy pomocy ingredyencyi zaczerpniętych z ładunku *Hanzy*.

— Jeżeli śniadanie będzie co się zowie dobre — mówił do siebie Ben-Zuf — to i przechadzka będzie co się zowie wesołą, a więcej nie potrzeba!

Układ więc spisu potraw był rzeczą wielkiej wagi. Z tego powodu były częste narady pomiędzy ordynansem kapitana Servadac a kucharzem *Dobryny*, a rezultatem ich było zręczne połączenie kulinarnej metody rosyjskiej z francuską.

Wieczorem 31. grudnia wszystko było gotowe. Potrawy chłodne, konserwy mięsne, pasztety z dziczyzny, i inne rzeczy, kupione za dobrą cenę u Izaaka Hakhabuta figurowały na wielkim stole w obszernej sali. Potrawy gorące miały być przyrządzone nazajutrz rano na kuchni ogrzewanej lawą.

Tego wieczora rozprawiano nad kwestyą, dotyczącą Palmiryna Rosette. Czy zaprosić profesora na uroczystą ucztę? Tak, bez wątpienia, należało go prosić. Ale czy przyjmie zaproszenie? Była to rzecz więcej niż wątpliwa.

Bądź co bądź, postanowiono zaprosić. Kapitan Servadac sam chciał wejść na górę do obserwatoryum, ale astronom tak źle przyjmował wszystkich natrętów, że wolano posłać mu bilet zapraszający.

*) Wiadomo, że pomiędzy kalendarzem rosyjskim a całej prawie Europy zachodzi różnica dni dwunastu.

Mały Pablo podjął się zanieść list do astronoma i powrócił wkrótce z odpowiedzią, w tych słowach zawartą:

„Palmiryn Rosette ma tylko to do powiedzenia: „Dziś jest 125 czerwca, jutro zatem będzie 1. lipca, zważywszy, że na Gallii potrzeba liczyć dnie podług kalendarza gallickiego.“

Była to odmowa w postaci naukowej, ale zawsze odmowa.

1 stycznia w godzinę po wschodzie słońca Francuzi, Rosyanie i Hiszpanie z małą Niną, reprezentującą Włochy, zasiedli do śniadania, jakiego nie było dotychczas na powierzchni Gallii. Co się tyczy jadła, Ben-Zuf i kucharz *Dobryny* prześcignęli sami siebie. Jedna z potraw, kuropatwy z kapustą, w której rolę kapusty odegrało „carry“, była tryumfalnem daniem. Co się tyczy win, pochodzących z zapasów *Dobryny*, były one wyśmienite. Pito wina francuskie, wina hiszpańskie na cześć krajów, z których pochodziły, a i Rosya nie była zapomnianą dzięki kilku flaszkom kymmelu.

Było tak, jak się spodziewał Ben-Zuf, i bardzo dobrze i bardzo wesoło.

Przy desserze toast, wzniesiony na cześć wspólnej ojczyzny, starego sferoidy, toast na cześć „powrotu na ziemię“, połączył wszystkie okrzyki, tak że Palmiryn z wysokości swego obserwatoryum musiał je słyszeć.

Po skończonem śniadaniu pozostawały jeszcze trzy wielkie godziny dnia. Słońce przechodziło przez zenit, słońce, pod którego promieniami nigdy by tu nie dojrzały wina burgundzkie lub Bordeaux, które tylko co spijano, tarcza bowiem słoneczna mdło oświecała powierzchnię, i wcale jej nie ogrzewała.

Wszyscy biesiadnicy ubrali się ciepło od stóp do głowy na wycieczkę, która miała trwać aż do nocy. Narażali się na ostrą temperaturę, ale bezkarnie, ponieważ powietrze było spokojne.

Opuszczano Ul Niny, rozmawiając i śpiewając. Na placu lodowym wszyscy nadziali swe łyżwy i puścili się podług upodobania, ci osobno, tamci grupami. Hrabia, kapitan Servadac i porucznik Prokop chętnie trzymali się przy sobie. Negrete i Hiszpanie błądzili kapryśnie po niezmiernej przestrzeni i z nieporównaną szybkością zapędzali się na najdalsze krańce widnokręgu. Wyuczywszy się doskonale łyżwiarstwa, oddawali się jemu z zapałem, rozwijając przytem właściwą sobie gracyą.

Majtkowie *Dobryny* podług zwyczaju krajów północnych uszykowali się w rząd. Długa żerdź, przeciągnięta pod prawem ramieniem każdego, utrzymywała ich w linii, i pędzili jak pociąg, którego koła zdolne opisywać tylko łuki wielkiego promienia.

Co się tyczy Pabla i Niny, to ramię przy ramieniu, wydając radosne okrzyki — jak dwa ptaszki puszczone na swobodę — ślizgali się oni z niewypowiedzianą gracyą, powracając do grupy gdzie był kapitan Servadac i znów naprzód pomykając. Młode te istoty streszczały w sobie całą radość i całą może nadzieję ziemi gallickiej.

Nie potrzeba także zapominać o Ben-Zufie, który z niewyczerpaną wesołością przebiegał od jednego do drugiego, cały oddany teraźniejszości a bez troski o przyszłość.

Grupa łyżwiarzy, unoszona własnym pędem na tej równej powierzchni, mknęła szybko i zapędziła się aż za linię, zamykającą horyzont Ziemi Gorącej. Za nią znikały naprzód najniższe warstwy skał, potem biały grzbiet nadbrzeżnych skał, potem wierzchołek wulkanu, owiany sadzowatymi wyziewami. Czasami zatrzymywano się dla nabrania oddechu, na chwilę tylko, gdyż należało obawiać się przeziębienia. Potem puszczano się dalej w stronę wyspy Gurbi, bez myśli jednak aby aż tam zajechać, gdyż za nadejściem nocy potrzeba było myśleć o powrocie.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, albo raczej — do czego Gallijczycy już przywykli — zdawało się nagle zapadać. Zachody słońca odbywały się w szczególnych warunkach na tym zwężonym horyzoncie. Żadna mgła nie przybierała tych cudownych kolorów, którymi darzą ostatnie promienie. Nawet oko po za tem morzem z lodu nie mogło dostrzedz ostatniego rzutu zielonego światła, który przez płynną powierzchnię się dobywa. Tutaj słońce, rozszerzając się w skutek refrakcyi, przedstawiało tarczę wyraźnie zarysowaną na obwodzie. Znikało ono nagle, jakby się lód załamał pod niem, i natychmiast następowała noc.

Na schyłku dnia kapitan Servadac zgromadził wszystkich i polecił towarzystwu, aby się trzymało koło niego. Tam puszczano się „w tyralierkę“, nazad potrzeba było wracać „ściśniętym szeregiem“, nie błąkać się w ciemnościach i razem wrócić do Ziemi Gorącej. Noc miała być ciemną, gdyż księżyc, w złączeniu ze słońcem, nie mógł jej oświecać.

Nadeszła noc. Gwiazdy rozsiewały po ziemi gallickiej to „blade światło“, o którem Corneille mówi. Zapalono pochodnie, i gdy ci, co je trzymali, szybko na łyżwach pędzili, płomienie, jak chorągiewki na wiatr puszczone, ożywiając się wskutek szybkiego pędu, długim ogonem ciągnęły się za nimi.

W godzinę potem wysokie wybrzeże Ziemi Gorącej zarysowywało się niewyraźnie, jak olbrzymia chmura czarna na horyzoncie. Nie można się było omylić. Wulkan panował nad nią, i rzucał silny blask w ciemności. Odblask law rozżarzonych padając na zwierciadło lodu, oświecał grupę łyżwiarzy i w nadzwyczajny sposób wydłużał ich cienie.

Tak było przez pół godziny drogi. Zbliżano się szybko do wybrzeża, gdy nagle dał się słyszeć krzyk.

To Ben-Zuf krzyknął. Wszyscy wstrzymali się w pędzie, wrzynając się w lód stalowemi łyżwami.

Wówczas przy blasku pochodni, bliskich już wygaśnięcia, ujrzano Ben-Zufa, wskazującego ręką na wybrzeże.

W odpowiedź na krzyk Ben-Zufa z ust wszystkich wyrwał się krzyk przestrachu.

Wulkan nagle zagasł. Lawa, która dotychczas wylewała się z wyższego szczytu, przestała wypływać. Zdawało się, że jakiś potężny oddech przeszedł nad kraterem.

Wszyscy zrozumieli, że źródło ognia się wyczerpało. Czy zabrakło materyi wybuchowej? Miałoż na zawsze zabraknąć ciepła Ziemi Gorącej, i czy nie było już żadnego sposobu zwalczenia surowej zimy gallickiej? Czyż tylko śmierć zostawała i śmierć ze zmarznięcia?

— Naprzód! — krzyknął kapitan Servadac silnym głosem.

Pochodnie pogasły. Ruszono naprzód wśród głębokiej ciemności. Przybywszy bystro do wybrzeża, nie bez trudu wdrapali się na skały lodowe. Rzucono się do otwartej galeryi, potem do wielkiej sali...

Głębokie ciemności, temperatura już niska. Ognisty obrus nie zamykał już wielkiego otworu

i wychylając się na zewnątrz porucznik Prokop mógł dojrzeć, że osad morski utrzymujący się dotąd w stanie płynnym pod kataraktą lawy, stwardniał wskutek zimna.

Tak się skończył na Galli ten pierwszy dzień roku ziemskiego, tak wesoło rozpoczęty.

(C. d. n.)

Z TEKI KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

Gdy wodospad z gór pędzący
Złote słońce strzały drasną,
Brylantowym pyłem drżący
Pierś ma taką cudną, jasną!

Z tęczą owianego łona
Szafirowa grzmi ulewa;
Blask koralów, blask opalów
Pryska na zdumiałe drzewa.

I zdumiałe słońce jasne
W zachwyceniu patrzy z chmury;
Zapomina dzieło własne
I podziwia cud natury.

Lecz gdy słońce się zamierzcha,
Lub wzrok w inną stronę poda,
Szybko blasku cud ten pierzcha,
Zimna się zostaje woda.

Jak to słońce, duszy młodej
Blask i żar rzuciłem na cię;
I jak wodospadu lody
W dyamentów błysłaś szacie.

Cherubinów miałaś lice
I niebieskich szat okrycie;
Wzrok topiłem w twe źrenice
Drżąc w miłości i zachwycie.

Nie wiedziałem, ja, szaleniec,
Co na tobie ze mnie było!
Wiem dziś — chmur mnie zaćmił wieniec,
Byłaś, jesteś lodu bryłą!

1850.

* * *

Żurawie lecą, szeregami lecą,
Podróżną pieśnią kłócą nocy ciszę;
Nad niemi w górze złote gwiazdy świecą,
Pod niemi modrą morze pierś kołysze.

Między gwiazdami śpiewające sznury
Czemu ma duszo ścigasz tak gorąco?
Czy jako pliszka pod ptasiemi pióry
Chcesz pożeglować tam na błoń kwitnącą?

O duszo moja, więdnąca w żałobie
W ogrojcach oliw, w cytrynowym gaju,
Puść ptaki z Bogiem! inna droga tobie
Do straconego pragnień twoich raju.

O ufaj duszo! w srebrnym z dział obłoku,
Z pieśnią tryumfu zapłyniesz zwycięzka;
Tam w ziemię ojców, w miłości potoku,
Na przyszłe plony krew ma wsiąknie męska.

A jeśli cudzy, daleki step dziki
Przed tem traw kilka na kości me rzuci,
Na co ci wtedy ptasich piór kaiki?
Własne cię skrzydło do matki powróci!

Na Śródziemnem przy brzegach Syryi
19 lut. 1861.

* * *

Błądzącemu w wonnym lesie
Smutnie szepcą mi jesiony;
Zda się twe westchnienie niesie
Do mnie wiatr z dalekiej strony.

I łza w oku mem się kręci
Dziwny ból za serce chwyta;
Po co w twojej ja pamięci?
Biedna dusza moja pyta.

Po co, po co te westchnienia?
Patrz na nieba toń błękitną!
Las się majem zazielenia —
Wszak i u was róże kwitną!

Szumcie klony, dęby szumcie;
Szept wiosenny w okół nieście, —
Ale to westchnienie stłumcie,
Serce pęka w niem niewieście.

O niech ja nie myślę mrący
W głuchej opuszczenia ciszy,
Że tam anioł jest cierpiący,
A Bóg modły mej nie słyszy!

Bejrut 1861.

* * *

Gdy na godach dusze wasze,
Myślcie i o głodzie ciał;
W każdą rajską pełną czaszę
Bóg i dla nich kroplę wlał.

I kto ciała wydziedzicza,
Niech pamięta, że z ich działu
Kroplę każdą szatan zbiera,
Zbiera, by ją oddać ciału.

A gdy zbierze pełną krużę,
Boży z niej zabija dar;
Kropla gasi, koi burze,
Pełna kruża — piekieł żar.

Dajcie ciału co cielesne,
A tak dajcie, by się w niebie
Duch i ciało mu rówiesne
Nie wstydziły wzajem siebie.

1878.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy.

XXII.

W rogu salonu spostrzegał Floryan siedzącą samotnie na uboczu pannę Paulinę.

Panna Paulina była to stara panna o przekwitłych już wdziękach, nie mogąca odżałować upłynionych lat i urody, opryskliwa i kapryśna, a za swoje staropanieństwo mająca żal nieprzejednany do całego świata. Odziedziczywszy mały kapitalik po rodzicach, przebierała za młodu między licznymi konkurentami, aż ją wszyscy wreszcie odbiegli, z wyjątkiem takich, za których nie byłaby poszła, wiedząc, że nie mają ani złamanego szeląga i na posag jej tylko dybią. Straciwszy nadzieję pójścia za mąż, lubiła jednak widzieć młodzież kręcącą się koło niej. Dziś nie było koło niej nikogo, — a więc humor fatalny.

Siedziała sama na kozetce — i z zawiścią utopiła wzrok swój w bladem obliczu kapitanówny.

— Przepraszam panią — przemówił do niej z ugrzecznieniem Floryan. — Czy wolno mi zadać pani pytanie nieco śmiałe, może niedyskretne...

— Szczególniejsze żądanie! — odpowiedziała opryskliwie panna Paulina, rada jednak, że choć jeden egzemplarz płci nienawistnej zbliżył się do niej.

— Przebacz pani! ale to pytanie, choć może niedyskretne, nakazuje mi współczucie dla przyjaciela i dbałość o szczęście drogiej mi osoby... i o moje własne.

— A więc mów pan, pozwalam.

— Pani zgadzasz się z tem, że szczerość jest dowodem szacunku?

— Niezawodnie.

— Więc będę zupełnie szczerym. Czy byłabyś pani oddała rękę swą Mikołajowi, gdyby się był oświadczył?

— Co za ciekawość! Może nie... może tak...

— Nie mówisz pani wprost: nie; — a więc rozumiem, co odpowiedź znaczy... Mój Boże, jaki on nierozsądny!

— Nie tłómacz pan sobie fałszywie moich odpowiedzi... Ale cóż znaczy ta eksklamacya?

— To znaczy... — wydeklamował Florek tragicznie — to znaczy, niestety! że nie ja, ale on fałszywie sobie wszystko tłómaczył... i teraz... lecz własnego nieszczęścia będzie sprawcą...

— Czy to prawda, co pan mówisz?

— Niestety!... Ale łaskawa pani, nietylko on nieszczęśliwym będzie, lecz i ona i ja...

— Jakto?... czy...

— Tak pani!... Na miłość boską słuchaj mnie pani! Czas nagli!... ostatnia już chwila!... On zerwać nie może, bo dał słowo. Ale od niej wszystko zależy. Nie żądaj pani bliższych wyjaśnień. Bardzobym długo musiał opowiadać — a tu każda minuta droga. Stoję jak przed stosem rozpalonym — topór zawisł nad moją głową — nad trzema głowami naraz!.. Ratuj nas pani i jego! Oddaj jej pani ten pakiecik tak, aby nikt nie widział... i powiedz jej pani tyle tylko, że to odemnie — że to ostatni środek ratunku... że ostatnia chwila!..

Nic nie odrzekła—wzięła pakiecik do ręki—spojrzała wymownie — i poszła.

W minutę później pakiecik już był w ręku Wandy; — usunęła się z nim do alkierza, a chwilkę później była już na ganku i rzuciła Antoniemu żądany dokument, którym miała okupić własne szczęście.

XXIII.

Kalasanty wpadł z krzykiem do salonu.

— Puśćcie mnie! puśćcie! ja nie jestem jego lokajem, żebym ja stał w jego fraku na korytarzu! ja nie będę waryata udawał, żeby mi kapitan kości połamał! ja nie pojadę do Leśnej Wólki! I kąpać się nie dam — i bić się nie dam!... Niech inspektor mówi co chce, ja do ministeryum będę apelować i musicie mi oddać moją kwadraturę... stawajcie na głowach waszych! no, stawajcie! Musicie! nie chcecie... to gwałtem!

I przyskoczywszy niespodzianie do pani Belbauerowej, usiłował pochwycić ją wpół, aby ją na głowie postawić. Zaledwie na czas pośpieszyć zdołał Mikołaj, aby przeszkodzić temu zamachowi.

— Kalasanty! wynoś się za drzwi! bo cię każę związać.

— Próbuj! prawda zwycięży! kwadratury mi nie wydrzecie!

I pochwyciwszy nagłym ruchem krzesło za poręcz, zaczął nim wywijać groźnie po nad głową, jakby piórkiem. Obłąkani w napadzie szaleństwa bywają silni.

— *Menin aeide thea Peleiadeo Achilleos!* — deklamował przytem z patosem początek Iliady, o straszliwym gniewie Achilla.

Kobiety przerażone zaczęły uciekać z krzy-

kiem do drugiego pokoju. Dwóch mężczyzn pochwyciło za ręce profesora.

Kalasanty szarpał się i wyrwały, co mu sił stało — a krzyczał przytem takim przeraźliwo-wojowniczym krzykiem, że nawet najsilniejszych nerwów osoby znieśćby tego wrzasku nie zdołały spokojnie. Gromadka ludzi zbierała się przed oknami kamienicy, dopytując, co się dzieje

— Widzisz kochany teściu, ja go muszę zaraz odwieźć do szpitala—rzekł pan Mikołaj!— Ale trzeba go związać.

— Sznura, sznura! — zakomenderował kapitan.

W tej chwili wszedł do salonu pan Antoni. Zdawał się pomięszany. Wyraz jego twarzy źle wróżył.

— Cóż Czecieczewicz?... co się stało? — zapytał kapitan.

Antoni nic nie odpowiedział; ustami poruszył i jakby się zająknął, zamknął je napowrót.

Mikołajowi oczy zabłysły najżywszą radością.

— No. panie director, was bringen Sie.

— Nie będzie na ślubie —odrzekł ponuro.

„Umarł pewnie!" — pomyślał Mikołaj.

— Czy chory? — zapytał.

— O nie. Zdrów, — ale.. odjechał.

— Pojechał? nicht möglich!

— Czemu odjechał? — zapytał Mikołaj, któremu się twarz przeciągnęła.

— Wielkie nieszczęście! — odpowiedział Antoni.

— Was ist denn geschehen?

— Otrzymał depeszę z Jasła, że mu się dom spalił.

— Dom spalił... no, Gott sei Dank, to nie takie wielkie nieszczęście: drewniana chałupa!

— Tak, zapewne — odrzekł Antoni tajemniczo — ale on nieslychanie zgryziony... ja się obawiam, że ma rzeczywiście ogromną stratę... wyjechał, odchodząc prawie od przytomności ze zmartwienia... może temu kwadrans... Bardzo się obawiam o niego...

— Tausend-noch-a-mal!... ale dla czego? Co to znaczy dla niego taki barak drewniany!...

— Ja mu zawsze mówiłem — rzekł z ubolewaniem Antoni, — że kto małego wydatku unika, to na wielkie straty się naraża! zawsze mu radziłem, żeby kupił kasę Wertheimowską..

— Nie miał kasy ogniotrwałej? — zapytał Mikołaj gorączkowo. — A to fatalnie!...

— Nie wiem, nie można się było z nim dogadać.. ale tak wnoszę po wrażeniu, jakie na nim wywarła depesza o pożarze...

— Wiążcie mnie! wiążcie! ale prawda zwycieży! — wołał ochrypłym wrzaskiem nieszczęśliwy profesor — kwadratury mi nie łamcie! postawcie ją na głowie!... ja się kąpać nie dam! nie! nie! nie!... Galileusz umrze... cyfry nie mylą!... cyfry!

— Aber der Kerl schreit fürchterlich! po co ty go sem tu *przywodził!*

XXIV.

Mikołaj zbierał się, aby sprowadzić swego stryjaszka ze schodów, chcąc go odwieźć do domu waryatów.

— Eh, kochany Mikołaju, może my by sem wprzód ślub wzięli, a jego tu ostawili przez ten czas..

— Niepodobna, kochany teściu! ja go muszę sam zaraz odwieźć. To mój obowiązek! Z każdą chwilą zwłoki stan by się pogorszył, a jeśli go zaraz oddam pod opiekę lekarza, to za kilka dni przyjdzie do siebie. Za pół godziny, za godzinę najdalej, będę tu z powrotem. Ksiądz może poczekać. Dam mu znać

Panna Paulina zbliżyła się w tej chwili do Mikołaja.

— Panie, proszę na słóweczko! — rzekła słodkim głosem i wybiegła na korytarz.

Zdziwiły Mikołaja i te zaprosiny i ten akcent szczególny, z którym były wymówione, lecz udał się za nią.

Za drzwiami pochwycił go za rękę Florek. Paulina pobiegła w lewo.

— Cóż zdecydowałeś? — zapytał groźnie pan Floryan. — Wiedz o tem, że co do mnie, jam zdecydowany na wszystko. Jeżeli złamiesz słowo i zabierzesz mi ją.. niedługo ci się cieszyć tą zdradą! jest jeszcze proch i ołów na świecie!...

— Ależ Florku! oszalałeś! ani myślę słowa łamać!... Ale cóż chcesz, abym zrobił? Kalasanty nie da się już użyć.

— Chodź

— Ale powiedz-że, niech wiem co chcesz...

— Chodź! —powtórzył tonem stanowczego rozkazu... — Radzę ci, nie sprzeciwiaj mi się... bom ja wściekły!

I poprowadził go wzdłuż korytarza, w lewo, drzwiami na ganek. Z ganku był wchód do spiżarni, podwójnemi zaopatrzony drzwiami. Spiżarnia była otwarta. Były tam dwie kobiety.

— Zamkniesz nas — szepnął Florek przytłumionym głosem.

— Tak.. we troje? — zapytał Mikołaj z mimowolnym uśmiechem.

— Nie żartuj! — odparł Florek kipiąc od gniewu.

— Ależ może kto obaczyć! — i oglądał się trwożnie.

— To zamknij i uciekaj! Przed kapitanem uciekniesz — przedemną nie!

I szarpnął go silnie za ramię. Z oczu jego przezierała dzikość większa w tej chwili niż u wszystkich kolegów Kalasantego.

Kobiety znajdujące się w spiżarni, nie słyszały tej rozmowy, która cichym a patetycznym szeptem u drzwi się rozgrywała.

— Ależ moja Paulinko droga — odezwał się głos panny młodej — to przecież śmieszne! dla czego tylko w spiżarni możesz mi powiedzieć tę tajemnicę?

— To nie ja ci ją powiem — odrzekła melodramatycznie Paulina — ale oni obaj tu przyjdą — tu nas nikt nie podsłucha!... i wszystko się wyjaśni... i obie będziemy szczęśliwe ..

— My obie? więc ty kochasz pana Mikołaja?...

Czy Paulina odpowiedziała na to skinieniem głowy, spojrzeniem, rumieńcem, westchnieniem i t. p. — nie wiemy. Słówka nie słyszeliśmy żadnego.

W tej chwili wszedł, a raczej wskoczył do spiżarni Florek — i równocześnie dał się słyszeć głos Mikołaja:

— Panno Paulino, proszę pani!

Paulina wychyliła przez drzwi główkę z najsłodszym uśmiechem.

— Chodź pan... tu!

— Niechże pani wyjdzie! — szepnął Mikołaj niecierpliwie, oglądając się za siebie.

Spojrzała na niego zdziwiona — ale wyszła.

Ledwo była za progiem, Mikołaj zatrzasnął drzwi, obrócił kluczem, raz, dwa razy, klucz wyjął, schował do kieszeni, zamknął drugie drzwi zasuwką — i jednym skokiem chciał umknąć...

— Panie Mikołaju! co pan robisz? — wołała biegnąc za nim Paulina.

Zatrzymał się dopiero w sieniach.

— Jakto? pani nie wtajemniczona?

— Oh, wiem wszystko!.. — odrzekła czule — ale czemuż pan ich zamknąłeś? — zapytała naiwnie.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Chyba pani nie wiesz o niczem?... Floryan musiał pani Bóg wie co nabajać!...

Suchy, a nawet szorstki ton, którym do niej przemawiał dziwnie brzmiał w jej uszach.— „Nie — pomyślała — to on chyba nie wie o niczem i tai się ze swem uczuciem, aby nie być wyśmianym."

— Wiem wszystko!... i... nie trać pan nadziei!

Tu spuściła oczy. Po zmarszczkach jej twarzy przemknął dziewiczy rumieniec.

— Jakiej nadziei! — zapytał patrząc na nią osłupiałym wzrokiem. — Że mnie uwolni od panny Wandy? Przecież na to tylko ich zamknąłem razem!... Tylko, na miłość Boską, przysięgnij mi pani, że nikomu nie powiesz!

— Jabym pana miała zdradzić!... przecież wiem, żeś pan to dla mnie uczynił... i... (tu wymowne spojrzenie) i... nie gniewam się.

— Ja? dla pani to zrobiłem?... Aaaa! rozumiem!... A to intrygant!...

W tym wykrzykniku mieściło się więcej niż potrzeba było dla otworzenia oczu panny Pauliny.

W jednej chwili twarz jej przybrała zupełnie inny wyraz. Gdyby ją kto niespodzianie w lodowej zanurzył płonce, miałaby podobny.

— Intrygant!... — cedziła przez zęby, drżąc cała z chłodu czy z gniewu.

— Ale zlituj się pani, nie zdradź mnie!

— Oddaj mi pan ten klucz!

— Co pani chcesz robić?

— Co?... ja sama nie wiem. Ale oddaj mi pan ten klucz!

— Ależ...

— Klucz! — nalegała panna Paulina rozkazująco — bo opowiem wszystko!...

Mrowie przeszło na tę myśl po biednym Mikołaju. Floryan na jego miejscu byłby odpowiedział: „To się pani sama skompromitujesz", on się wahał chwilę, wreszcie zapytał:

— Ale mnie pani nie zdradzisz?...

— Przysięgam, że nie zdradzę.

Oddał jej klucz od spiżarni, w której teraz zapewne gruchało dwoje gołąbków.

Weszła do salonu, wahając się, co robić z tą zdobyczą, aby jak najsrożej się pomścić.

— Czy jej matce klucz oddać?.. Czy ojcu?... Tak! ale jak mnie zapytają, zkąd go wzięłam? co powiem?... Ah, ah, jak się tu zemścić?

(C. d. n.)

PLOTKI I NIE-PLOTKI
WARSZAWSKIE.

V.

(Ciąg dalszy).

Panowanie powag zmiejsza się, nie zbyt gwałtownie wprawdzie, lecz coraz widoczniej. Warszawa zaczyna coraz więcej uznawać **Piotra**

Chmielowskiego, jako wytrawnego spokojnego, a zdolnego krytyka.

Piotr Chmielowski, jak na krytyka, tak spokojnego, jakim jest bardzo jeszcze młody człowiek, profesor, zaczął przeważnie swój literacko-krytyczny zawód w „*Niwie*“, gdy pismo to stało się własnością młodych ludzi, Godlewskiego, Ochorowicza, Sienkiewicza...

Paru lat potrzeba było czasu, aby młody pisarz dał się poznać, nie matadorom, którzy go ignorowali, przeczuwając w nim niebezpiecznego współzawodnika i dlatego milczeli o nim z powagą, dopokąd mogli, to jest aż do chwili, kiedy ludzie wykształceni zaczęli po za granicami dziennikarstwa mówić głośno i szeroko o nowym krytyku i jego talencie.

Nareszcie ukazało się studium o Henryku Rzewuskim Piotra Chmielowskiego w „*Niwie*,“ napisane z subtelnością sędziego sumiennego, zbierającego umiejętnie, a z troskliwą bezstronnością zestawiającego fakta, aby sprawiedliwy wyrok wydać. Szczegóły ustawione tak zręcznie i umiejętnie, że całość sama z siebie układa się harmonijnie do tyla, że ją jednym prawie rzutem oka objąć można i zrozumieć. I gdyby Chmielowski miał jeszcze jeden przymiot, to jest miał uczucie zapał, czyli większą dozę poezyi, więcej obrazowości, a w tych obrazach więcej ciepła... Gdyby to czego zanatomizować nie można, przeczuwał i odgadywał. Czyli inaczej, gdyby był większym poetą jak jest... Niestety, do krytyki, również jak do astronomii i historyi, potrzeba poezyi. Czemuż jej nie ma więcej Chmielowski? Styl jego byłby świetniejszym, więcej porywającym, obrazy pełniejsze i prawdziwsze, porywałby; gdy tymczasem on tylko uczy i przekonywa. Mimo to, jest on po Kaszewskim dziś jedynym bezstronnym krytykiem serjo w Warszawie. I w obec niego, Tarnowscy, Krzemińscy, Lewestamy, a nawet Lubowscy i Wacie idą na drugi plan. A chociaż więcej on rozumuje o pięknie, jak go instynktowo czuje, sądzi o niem wytrawnie, dobrze i sprawiedliwie.

Jest nadzieja, że z czasem Chmielowski zmieni u nas na lepsze kierunek artystycznego smaku, i wyrobi w społeczeństwie polskiem lepsze estetyczne pojęcia.

Stoimy na wyłomie, w przededniu wielkich wypadków, stanowczych zmian i konieczności wytworzenia się nowych dróg i nowych talentów. Jeżeli nie wyłonią się i nie wydobędą u nas nowi ludzie i nowe talenta, umrzemy na bezkrwistość i ospałość!.. Niechaj więc krytyka czuwa i pracuje, torując drogi wchodzącym w szranki. Poda im rękę, oświeca i popycha naprzód, bo inaczej przy ogólnej apatyi i odrętwieniu zmarnują się i przejdą niepostrzeżenie.

Wielki czas, abyśmy zaczęli tworzyć przyszłość, gdy dziś dogorywamy przeszłością. Wielkie ogniska zgasły jedne po drugich, inne dopalają się, świecąc światłem, które już nie grzeje. Poezya zgasła, parę imion w dziale dramatycznym już nie egzystuje. Pośmiertne utwory Fredry, ani jednym listkiem nie ozdobiły mu wieńca sławy, zdobytego za życia. Beletrystyka umiera. Jeż się starzeje, Zacharjasiewicza, który miał być polskim Walter Skottem, nikt nie chce czytać, zanudzał nas swym „Wyborem na posła“ w nieśmiertelnie nudnych „Kłosach“ przez rok cały, zanudzał nas owemi „chmurkami na czołach,“ z których powinny już dawno powstać wielkie chmury a z nich potop literacki na naszą krainę.

Wszyscy jego bohaterowie i bohaterki chodzą, mówią i śpią z chmurkami na czołach. Muszą mieć i muchy w nosie, bo są często tak niesmaczni, że niech ich Bóg kocha! Konia z rzędem, jeżeli kto przeczyta od deski do deski jednym tchem „Wybór na posła“ i zrachuje wszystkie chmury na czołach wszystkich figur tej powieści.

Z dam naszych, Morzkowska, nie jest nigdy sobą, a nie może umaczać pióra, aby nie myślała o Gorge Sande.

Ilnicka, tkliwa i sentymentalna, nie ma pojęcia o prawdziwym dramacie, a na życie patrzy załzawionem okiem. Nigdy nie bierze jego prawdy i istoty za podstawę swych utworów, lecz fantastyczne udręczenia, sentymentalne kombinacye, idealne nieegzystujące w rzeczywistości cierpienia. Czytając naprzykład „Beatę“ zapytujemy się, dlaczego ci ludzie bawią się w nieszczęśliwych, gdy przy jednem spokojnem porozumieniu mogliby być tak szczęśliwi; a przecież wyglądają na rozsądnych.

Ach ten sentymentalizm zabija w nas talenta i podkopuje jędrność i energię narodu. Jestem zdania, że pani Ilnicka mogłaby za motto do swych powieści wziąć: „Cierp, cierp, bo cierpienie jest tkliwych dusz potrzebą i osłodą“. Za to jej poezyjki mają dużo uroku, słodyczy, uczucia, świeżości, czasem siły. Tendencya w jej powieściach jest wysoko szlachetną, ale cóż, ludzie nadto idealni, nieznani u nas i dla tego nieprawdziwi. Dobre i szlachetne idee nie łączą się z ciałem i krwią ludzką, ulatują więc jak mgły od podmuchu wiatru rzeczywistości. Jeżeli zaś zabłąka się w tych wypracowaniach jakiś zły człowiek, inaczej czarny charakter, to już jest tak czarny, jak kominiarz i jego sadze, bez żadnej potrzeby, a często bez innej racyi, tylko aby powiedziano, patrzcie ten jest czarny jak kominiarz, a oto ten biały, — pani Ilnicka napisałaby jak anioł, ja, co nie widziałem anioła, napisać muszę, — jak młynarz.

Pani Orzeszkowa jest najzdolniejszą z naszych pisarek. Dużo tam werwy i prawdy, a nawet, co u kobiet jest rzadkością, można znaleść konsekwencyę i znajomość charakterów, często i niewieścich. Gdyby pani Orzeszkowa mniej pisała a za to więcej opracowywała swe powieści, miałyby one bez porównania większą wartość. Krócej, droga pani, krócej opowiadać, raźniej intrygę prowadzić, wyraźniej charakteryzować.

Wielka nowina! Wszystkie dzienniki powtórzyły z entuzyazmem, że od Nowego roku, na raz cztery pisma zaczęły drukować cztery nowe utwory Kraszewskiego!

Entuzyazm nie w porę i radość nie na miejscu. Nie mam zamiaru uwłaczać niespożytej zasłudze naszego jubilata, ani występować z krytyką jego olbrzymiego talentu, lecz muszę powiedzieć: biedna literatura, redakcye i publiczność, którym i której jeden, sam jeden Kraszewski po 50-ciu latach pracy musi wystarczać! Biedna literatura, która po 50-cioletniej pracy swego przodownika nie mogła się zdobyć na licznych jego zastępców, biedne i nędzne redakcye, które nie umiały sobie wyrobić talentów, i biedna publiczność, która musi czytać od lat pięćdziesięciu po dwadzieścia powieści Kraszewskiego. Redakcye na Kraszewskim robią dobre interesa, a więc nie dbając o przyszłość, używają Kraszewskiego jako reklamy wszędzie i zawsze.

Biorąc rzeczy serjo, nie powinno nam iść o to, aby Kraszewski napisał więcej o 20 lub 30 dobrych a takich samych powieści, jakich już mamy dwieście, lecz żeby korzystając z sił, zdrowia i możności pracy, napisał jeszcze pięć powieści, tak świetnych i wyrzeźbionych, jakiemi jest pięć poprzednich wybranych z pierwszych dwustu. Powinno nam iść o to, abyśmy mieli o pięć arcydzieł więcej w naszej literaturze a nie o trzydzieści powieści dobrych, podobnych co do wartości do poprzednich dwustu.

Kraszewski najlepiej maluje czasy Stanisława Poniatowskiego, i zdaje się już wyczerpał tę epokę, wziął się więc z równem powodzeniem do czasów Sasów, i w „Siedmioletniej wojnie“ jako i „Brylu“ zabłysnął. Dlaczegóżby nie miał dalej w tym kierunku z korzyścią dla naszej literatury i dla osobistej chwały rozwijać się?... Dla tego przebrzydli handlarze polujący na prenumeratorów nie wyborowem prowadzeniem swych pism, lecz reklamą zasłużonych imion, nie męczcie tego nieutrudzonego starca, nieustannemi zamówieniami, którym nie ma sił oprzeć się, lecz dajcie mu chociaż po 50-ciu latach ciężkiej pracy wejść w siebie, rozpatrzeć się, dajcie mu czas odetchnąć i pozwólcie do napisania jeszcze paru arcydzieł, na które go stać dotąd. Któż ręczy za przyszłość. Handlarze i przekupnie umysłowej pracy narodu, li dla swych zysków, wielką odpowiedzialność bierzecie na swe sumienia, bo kraj spodziewa się jeszcze czegoś potężnego po swym 50-letnim pracowniku, a wy usiłujecie go wydrzeć literaturze przez zmuszanie do napisania 30-tu więcej powieści i zamęczacie go w tej pracy, gdy my oczekujemy od niego arcydzieł!...

Gdy przyjdzie na naród nieszczęście i nie stanie Kraszewskiego, cóż wtedy będzie, co się stanie z naszą beletrystyką?... Albo się zmieni w pustynię Sahary, bo przecież rehabilitujący się: Kaczkowski i Niewiarowski, nie będą mogli być nawet oazami na tej pustyni. W rehabilitację z potrzeby wierzę, lecz nie wierzę, aby talent na wezwanie rehabilitacyi wracał jak usłużny lokaj na skinienie swego pana. O Jeżu zapominają, jak i on o nas. Autor „Wyboru na posła,“ gromadzi chmury na czoła swych bohaterów, a chmurki, na czoła swych bohaterek, starcie ma sprowadzać grzmoty i pioruny. Czwórka naszych dzielnych dam powieściarek, nie uciągnie sama okazałej karety beletrystyki....

Chyba jeden Pług rozleje swymi nieśmiertelnymi „Bakałarzami“ strumienie atramentu i zrobi z Sahary morze.

„Bakałarze“ ze szpalt nieśmiertelnych nudą Kłosów, uszczęśliwiały Polskę pierwszą częścią przez lat dziesięć. Druga część ma się również ukazać wkrótce i uszczęśliwiać naród wyrafinowanym rozumem Złotogłowskiej, do 1890 roku!

Gdy Kraszewskiego nie stanie, beletrystyka zmieni się w pustynię, lub też zatrzymywane, a ukryte nowe źródła trysną potokami, i talenta, jak po długim poście zastawa święconego, ukażą się raptem oczom zdziwionych... Lecz kto będzie odgrywał rolę prosięcia trzymającego jajko w pyszczku rozdziawionym?... Natchnienie mi szepcze, że to perełka ułowiona na bruku warszawskim, młody współpracownik Kurjerka Warszawskiego, który studjuje w Waciu nieomylność, stwierdza ją na każdym kroku i czuje się szczęśliwym.

Gdyby „Prus“ nie starał się być zawsze i ciągle lekkim i dowcipnym, gdyby był nieco głębszym, gdyby szerzej patrzał, gdyby umiał nachylić się wzrokiem badacza po za rogatki Warszawy... Czyli inaczej, gdyby go Warszawka i kronika Warszawskiego kurjerka nie absorbowały, wyrobiłby się na bardzo dobrego powieściopisarza. Jego deklamacyjny dziś demokratyzm, zmieniłby

*

się w zasadę zdrową, i ta zasada wcieliłaby się w ludzi umiejących walczyć z przesądami, kastowością i korupcyą tej części zamożnej warstwy w narodzie, którą nazywamy arystokracyą.

Prus byłby dobrym powieściopisarzem, gdyby poszedł w ślady Sienkiewicza i uciekł z atmosfery koteryi warszawskich na szeroki świat, na lat dwa. Potrzeba mu powietrza, wrażeń i nauki patrzenia nie na pojedyńczych ludzi lecz na ludzi w społeczeństwie, nie na koterye, lecz na stronnictwa, nie na redakcye, lecz na akademie, byle nie na krakowską, któraby próbowała na nim egzorcyzmu, wypędzając z niego demokratycznego dyabła.

To co napisałem w tej chwili do pana Prusa, mógłbym powtórzyć kilku innym z talentami młodym ludziom, oprócz młodzieńców odgrywających artystyczną rolę prosiąt na Wielkanoc z jajkami w pyszczkach. Tym dobrze w Warszawie, niech się z niej nie wychylają, bo zginą.

(Dok. nast.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Nędza na Rusi, obrazki z życia wiejskiego. Skreślił Dr. H. Jasieński, Lwów. 1878.*)

„Ludziliśmy się bardzo długo; i rząd się łudził, i kraj się łudził, i łudzili się wszyscy, a dziś już nikomu tajnem nie jest, że ta święta ziemia obiecana, ongi „mlekiem i miodem“ płynąca, ta Ruś hreczana z łanami o złotokłosej pszenicy, o srebrzystem życiu — stała się żebraczą“.

„Nędza z wszystkiemi jej groźnemi następstwami rozsiadła się pod strzechą wieśniaka, dobrobyt uciekł z dworów, zostawiając je na pastwę przybyszom, za możność ustąpiła z miasteczek, a ściany gołe, lud goły, szlachta nieobuta, wymownie świadczą, iż tragedya ma się ku końcowi“.

Prawda ta, wypowiedziana na samym wstępie przez autora z niezwykłą otwartością, za którą serdecznie mu dziękujemy, gdyż wcale nie jesteśmy zwolennikami „mądrej polityki kunktatorskiej: „broń Boże prawdę wyjawić, aby nikogo nie drażnić“, zachęciła nas już nie do przeczytania, ale do przestudyowania jego dzieła.

Autor kreśli obraz stosunków gospodarczo-społecznych, panujących w *trzeciej* części kraju galicyjskiego, na obszarze, ciągnącym się od działu wód w Płuhowie aż po Zbrucz, a zwanym pospolicie *Podolem* z powiatami pogranicznemi w łącznej liczbie 25. Szkoda, że autor dla dokładności nie wymienił tych powiatów. Obejmują one 500 kwadratowych mil przestrzeni i półtora miliona ludności. W każdym razie znajduje się tu owo słynne Podole, znane powszechnie jako najżyźniejsza część Galicyi. Tymczasem jest ono w „takiej nędzy, że ludność poczyna emigrować, a o tem nikt nie wie“ (str. 5). Przypatrzmyż się więc gospodarczo społecznym warunkom tego kraju.

Chłopi stanowią kategoryą ludności najliczniejszą i najważniejszą. Jest to podstawa całego społeczeństwa; grunt, na którym się wznosi cały gmach naszego dobrobytu; źródło najważniejsze wszelkiej naszej produkcyi. Bez chleba powszedniego, którego jedynym wytwórcą jest chłop, nic się nie ostoi, nic się nie rozwinie w społeczeństwie. Niezmiernie ważną jest przeto rzeczą wiedzieć, w jakim stanie są siły chlebodajne, które warunkują przedewszystkiem istnienie społeczeństwa.

Chłopi dzielą się na właścicieli mniejszych posiadłości i rolników, żyjących tylko z zarobku. Podług p. Rapackiego (ludność Galicyi. Lwów, 1874), robotników rolniczych, nie mających własności ziemskiej, jest w Galicyi Wschodniej 72.3% w stosunku do całej ludności, zajmującej się pracą rolniczą. Ilu jest właścicieli mniejszych posiadłości, nie wiemy. P. Rapacki, opierając się na spisie ludności z 1869 r., oblicza, że jest ich 653637 w całej Galicyi, włączając tu i cząstkowych właścicieli byłych wsi szlacheckich. Namiestnictwo zaś w 1868 r. wyliczało Wydziałowi krajowemu stały kataster 793970 samych tylko posiadłości rustykalnych. Przyjmując cyfrę podaną przez p. Rapackiego za bardziej wiarogodną *), obliczamy podług niej, że liczba właścicieli mniejszych posiadłości w stosunku do ogółu ludności rolniczej w całej Galicyi wynosi mniej więcej 25.9%, czyli równo 25%, odrzucając ułamek na właścicieli byłych wsi szlacheckich. Chłopi więc stanowią 97.9% ludności rolniczej, która znowu w Galicyi Wschodniej sama stanowi 83% całej ludności.

Właściciele mniejszych posiadłości przedstawiają bądź co bądź uprzywilejowaną część chłopskiej rolniczej ludności, ponieważ posiadany grunt daje im większą niezależność ekonomiczną i bardziej wpływowe stanowisko w gminie wiejskiej, gdyż tylko z pomiędzy nich bywają wybierani: naczelnicy gmin, członkowie rad gminnych, rad powiatowych, a wreszcie posłowie sejmu krajowego i rady państwa. Nie powinniśmy przeto się dziwić, że od 1868 r., kiedy zniesiono niepodzielność posiadłości ziemskich, objawił się pęd do drobienia gruntów, każdy bowiem ze spadkobierców włościanina właściciela stara się utrzymać przy jakimkolwiekbądź kawałku ziemi, a znowu bezziemny rolnik, dorobiwszy się jakiej takiej sumki, woli zostać uprzywilejowanym członkiem gminy, aniżeli wisieć ciągle na łasce wszystkich i każdego z osobna. Zobaczmyż teraz, jakie to jest położenie ekonomiczne właściciela mniejszej posiadłości.

Własność mniejsza w przecięciu wynosi siedm i pół morgów. Wartość pieniężna takiego gospodarstwa „wraz z chatą, chlewem, bezrogą, zasiewem, sprzętem, rolą, krajką, kożuchem i wszelkim zasobem... sammt Sack und Pack równa się wartości np. fortepianu lub stawce przy dyabełku w Krakowie w pewnych sferach, lub wierzchowemu koniowi rotmistrza ułanów, jednem słowem reprezentuje *kwotę 500 do 600* zlr. w. a. czyli odpowiada rencie 25 do 30 zlr. rocznie“. (Str. 15). Oczywiście, włościanin z rodziną nie mógłby się wyżywić na tem gospodarstwie, jeśliby nie dodawał do swej własności pracy rak swoich i zarobku postronnego“. (Str. 106). Tymczasem na wsi więksi ziemscy właściciele powszechnie narzekają na brak robotnika, chociaż jak autor powiada—chłop jest powolnym dla dworu szlacheckiego. (Str. 10). Zkąd że wynika to jego lenistwo? Pan Jasieński odpowiada na to z zupełną stanowczością, że lenistwo ma się w stosunku równym do ubóstwa: *im który biedniejszy, tem bardziej leniwy, a im który zamożniejszy, tem bardziej pracowity*“. (Str. 27). O ile to twierdzenie jest uzasadnionem, nie możemy rozstrzygnąć; nie mamy jednak prawa nie wierzyć faktom, które autor sam na własne oczy obserwował, a które o tem przynajmniej przekonywają, że nędza chłopa ruskiego jest ogromna.

Mieszka on w niskiej kurnej lepiance z dziurą w sieniach zamiast komina, z jednem okieneczkiem o czterech szybkach, z piecem wielkim i również wielkim zapieckiem. Zwykle jada barszcz szary i kartofle lub mamałygę. Tylko w wielkie święta lub na weselu i chrzcinach dostaje kawałek mięsa. „Na jednę duszę chłopską wypada na cały rok 4—6 funtów mięsa“. (Str. 228). Chleb miewa razowy z otrębami, zmełty na własnych żarnach Nadto czterdziestodniowy post przed Wielką nocą tak wycieńcza chłopów, że dostają „kurzej ślepoty“. Na dziesięciu podparobków 3—4 mają tę ślepotę, która ustaje po Wielkiej nocy czyli po najedzeniu się kiełbasy, jaj i td. Podczas tego postu chłopa biedniejszego nie wyciągniesz na robotę: leży na przypiecku i dumkę duma. Wychodzących zaś na robotę, trzeba wieczorem do chaty odprowadzać“. (Str. 18). Niedostateczne pożywienie i ubóstwo tłumaczą aż nadto pijaństwo i złodziejstwo, niestety bardzo pospolite pomiędzy ludem; a do zbrodni po największej części popycha także nędza „Chłop jest bardzo a bardzo biedny; skoro zatem nastaje alternatywa: albo wydać na furę i lekarza 5 zlr., albo umrzeć—to wybiera ostatnią i umiera!“ (Str. 227).

Wieśniak ruski, podług przedstawienia p. Jasieńskiego, jest ogromnie ciemny. Na przestrzeni kilku mil kwadratowych nie masz ani jednego włościanina, umiejącego czytać i pisać. Chłop nie może dać sobie rady z rachunkami. „Nie wie, ile ma lat, kiedy się urodził, jak dawno żonaty, a ile i komu winien, to rzeczywiście nie pamięta“. „Ot bude tylko, a może tylko“... Ileż to podparobków lub podpasaczy, którzy paszą dwanaście cieląt, i codziennie o to pytani, nie wiedzą, ile sztuk tych cieląt powierzono ich berłu! (Str. 20). Czy przy takim stanie umysłowym zdolen jest chłop ruski *dumkę dumać*, mocno wątpimy. Nic więc dziwnego, że go żadna polityka, żadne zasady państwowe nie obchodzą. Ciemnota i ubóstwo przytępiły w nim umysł, pozbawiły go wszelkiej samodzielności. „Chłopa ruskiego można bezkarnie obedrzeć, czynnie znieważyć, nawet wywłaszczyć, a wszystko to nie poruszy jego istoty biernej“. (Str. 139). Jest więc ofiarą wszelkiego wyzyskiwania i nadużyć. „Skarżyć się nie umie i nie będzie“; a skoro i wystąpi ze skargą, to uczyni to tak nieumiejętnie, „że zostanie za drzwi wyrzuconym, lub od świtu do nocy podpiera korytarze i przedsionki rozlicznych naszych instancyi!“ (Str. 166). Ciemnota i obawa przyszłości czynią go zawziętym konserwatystą. Po zeszłorocznem zwiedzeniu Rusi przez namiestnika, wszyscy czegoś oczekiwali, „tylko chłop, ten ruski chłop, twardy, nie rozsępił oblicza, mrucząc: „koby choć hirsze ne buło!“ (Str. 212). P. Jasieński uważa konserwatyzm chłopski za zaletę, ponieważ „jest zaporą do wynarodowienia i wywłaszczenia“. Nam przeciwnie się wydaje, że gdyby nie ten nieszczęśliwy konserwatyzm, nie potrzebowalibyśmy już dzisiaj obawiać się wynarodowienia; przy pomocy chłopów, dawno wymietlibyśmy czysto chatę naszą. Smutna to zasada: „jak buwało naj bude“ doprowadziła nas wszystkich do rozpaczliwego dzisiejszego położenia. Chłop „nie chce przewrotu, on nie chce nabytku praw, on nic nie chce — *on chce jeść i spocząć*“. (Str. 10). A wszakże pomimo to, jak sam autor powiada, po ciężkiej pracy usiadłszy na przyźbie, „przypomina sobie nauki diaka, z broszur importowanych zaczerpnięte, że przyjdzie car biały, wyrznie żydów, panów *et tutti quanti*, daruje podatki na sim lit (7 lat), rozda grunta, i bude dobre. *Chłop spiskuje, bo mu nędza dopieka*, jeśliby mu bowiem dobrze było, toby pewnie nie spiskował“. (Str. 135).

Cóż jest przyczyną nędzy chłopa? Przedewszystkiem, jak już widzieliśmy, 72.9% rolniczej ludności stanowi proletaryat wiejski. Powtóre, mała posiadłość jest za drobna, ażeby można było wyżyć na niej, a za wielka, ażeby dała umrzeć od razu z głodu. Po trzecie, „przeciążenie jednostki i gminy co do podatków i rozlicznych pretensyi. Rządy centralne i krajowe wyciągnęły strunę tak, iż takowa rwać się zaczyna“. (Str. 31). P. Jasieński oblicza z całą dokładnością, że „gospodarstwo wartości 600 zlr. czyli renta 30 zlr. płaci rocznego podatku z dodatkami 20 zlr., tj. 66 proc“. (Str. 34.) Gmina jest także przeciążona podatkami, a nadto odbywa się wiele poborów dowolnych a nawet nieprawnych. Gmina, która płaci 600 zlr. stałego podatku, na same nadzwyczajne komisye dopłaca rocznie 8% dodatku. „Liczby te wymownie świadczą, iż gmina a raczej włościanie są nadzwyczaj przeciążeni, i że skutkiem tego, dobrobyt rok rocznie upada, cała wartość pieniężna (kapitalna?) ziemi się deprecyonuje, pauperyzm się wzmaga, kapitały się koncentrują w coraz szczuplejszych kołach, a krajowi *grozi powszechne bankructwo*“. (Str. 37). Czwartą przyczyną nędzy chłopa jest brak prawdziwej i przyjaznej opieki nad ludem. Dawniejsze panowanie dworów szlacheckich, aczkolwiek nie żałujemy, iż minęły jego czasy, dawało atoli pewną opiekę chłopowi. Dzisiaj, korzystając z jego bezsilności, obdziera go każdy, kto tylko może. Żydzi z włościan porobili sobie niewolników. Za chrzciny, wesele, pogrzeb, musi wieśniak zapłacić księdzu wymaganą należytość, chociażby miał sprzedać ostatnią krowę. Są nawet tacy księża, co skupują grunta chłopskie. „Wszak mamy na Rusi kilku popów, którzy folwarki 200 morgowe skomasowali z nabytych od włościan“. (Str. 167). Szlachta polska wprawdzie, podług autora, „w stosunku do chłopa ruskiego postępuje sobie uczciwie, honorowo a nawet ofiarnie“ (Str. 10); ale szlachta galicyjska, która stanowi, podług niego, najliczniejszą część właścicieli większych posiadłości, która nie poczuwa się do obowiązków narodowych, jeśli dawniej przy pomocy lancdragonów zmuszała chłopów pracować za najniższą płacę (str. 92), to dla czegożby nie miała i dzisiaj wyzyskiwać i korzystać z ich ciemnoty? Zresztą sam p. Jasieński opowiada o pewnym szlachcicu, który zaskarżył chłopa.

*) Centralna c. k. komisya statystyczna w Wiedniu podała w 1868 r. ogólną cyfrę właścicieli ziemskich na 584000.

za wyrąbanie kilkunastoletniej lipy w jego lesie do sądu, starosty i Wydziału powiatowego; a następnie kiedy chłopa podwójnie skazano wyrokiem sądu i starosty, szlachcic ów był „niekontent, że tylko 60 złr. odszkodowania otrzymał, albowiem na dobrowolnej drodze byłby chłop dziesięć razy tyle odrobił". (Str. 208). Dalej fiskalizm austryacki, znany powszechnie z gorliwości swojej, zabójczo działa na przedsiębiorczość i zasobność ludu wiejskiego. Wobec zdzierstwa kościelnego i państwowego, śmierć chłopa, to początek ruiny jego gospodarstwa. Zanim jeszcze zastygnie „opłacić trzeba pochoron, popa, diaka, podzwonne, grabarza, za światło, za trumnę i w dodatku stypa. Zaledwie otrzęśli się od tego spadkobiercy, nuż zjeżdża notaryusz ze stemplami, protokołami, cytacyami, pieczątką urzędową, więc znów płacić trzeba; ostatecznie zaś c. k. urząd podatkowy wymierza należytość za przeniesienie spadku czyli tak zwane na Rusi *pohołowne*. Te trzy wydatki: pogrzebu, kosztów notaryalnych i podatku przenośnego, stanowią blisko czwartą część całego spadku u przeciętnego chłopa". (Str. 19). Nawet walka pana z popem o przewagę nad gromadą odbija się niekorzystnie na chłopie. Wszystko więc spiknęło się na jego mienie i pracę, a władze autonomiczne, gdyby nawet pragnęły stanąć w jego obronie, są bezsilne i nieznają innych środków ku temu, jeno te, które krępując samodzielność włościanina, uczyniłyby z niego jeszcze bierniejszą niż dotąd istotę. Nie dziwić się przeto, że usamowolniony włościanin w walce ekonomicznej rozpasanych żywiołów szybko ku ruinie zdążać począł. Rozwój jego umysłowy obniżył się. „Pokolenia dorastające są wogóle głupsze i pod każdym względem gorsze, niżli poprzednie". (Str. 8). Dobrobyt upadł, co widocznem jest nawet w ubiorze włościańskim. Sposób prowadzenia gospodarstwa pogorszył się. Rola skutkiem palenia słomy i braku nawozu zjałowiała. Ztąd peryodycznie pojawiające się nieurodzaje z tyfusem głodowym grożą zupełnem skarłowaceniem ludu ruskiego. Nad ciemnotą jako piątą przyczyną nędzy rozszerzać się nie będę. Szóstą przyczyną jest liczna rodzina. Przeciętny chłop ruski ma troje żyjących dzieci; buło i bilsze, buło szoś semero czy wośmero, ale poumieraly". (Str. 13). Za ośm pogrzebów po 1 złr. 50 ct., wypadło mu więc zapłacić 12 złr., coś przecie i wyżywienie zmarłej dziatwy kosztować musiało. Strata to wobec ubóstwa włościanina jest ogromna a nadto nieprodukcyjna. Gdyby włościanin mniej miał dzieci, a staranniej je chował, byłoby to z większym pożytkiem dla niego i dla społeczeństwa. „Dzieci to bogactwo chłopa, niemi się dorabia fortuny". (Str. 14). Jest to zdanie tylko pozornie sprawiedliwe. Na gospodarstwie większem, ale nie na siedmiu i półmorgowem, dzieci dorosłe zastąpią gospodarzowi parobków; gospodarz więc zyszcze, lecz parobcy stracą, bo podaż ich pracy w stosunku do popytu urośnie. Jednostka *może* skorzystać, lecz ogół *na pewno* straci. Kwestyę tę dokładnie bada i przedstawia dzieło pt. „*Elements of social science*", napisane przez pewnego doktora medycyny, a które to dzieło przetłumaczono już prawie na wszystkie europejskie języki i, jak się zdaje, wkrótce pojawi się także i w polskiem tłumaczeniu. O dalszych przyczynach nędzy jako mniej ważnych mówić nie będę. (Dok. nast).

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 28. marca.

Nakoniec postawiliśmy na swojem, wypowiedzieliśmy wojnę Moskwie, wybrawszy hr. Artura Gołuchowskiego posłem do Rady państwa. Dr. Smolka upadł tedy mniejszością 143 głosów ku wielkiemu zadowolnieniu posiadaczy małej własności w Galicyi, którą z wielkim ferworem o ile wiemy, reprezentuje hr. Krukowiecki. Nowy ten Bebel galicyjski, stanąwszy osobiście na trybunie sali magistrackiej, odważnie bo w towarzystwie sękatej laski, zaklinał wyborców lwowskich, aby tyle drogi czas Dr. Smolki jako członka Wydziału krajowego rozpatrującego rekursa spraw gminnych, zachowali biednym włościanom, pozostawiając go we Lwowie. I stało się, jak pragnął hr. Krukowiecki, argumentacya jego trafiła do demokratycznego serca wyborców, rekursa gminne ocalone — i Moskwa będzie wypchniętą za żelazne słupy Dnieprowe

Sądzimy, że cała Europa przyklaśnie naszej wielkiej polityce galicyjskiej, a szczególniej Anglia, która jak wiadomo szukała nieraz w Polakach dobrych sprzymierzeńców. I Moskwa, usłyszawszy wojenne hasło we Lwowie, zatrwożyła się wielce, skutkiem czego wstrzymano ruch towarowy na kolei Odeskiej, podstąpiono bliżej Bosforu, zatrzymano gwardye pod Konstantynopolem, a wreszcie jednocześnie z hr. Gołuchowskim wysłano Ignatiewa do Wiednia. Sytuacya zatem jest nadzwyczaj wyprężona; czyj wpływ na Ballplatzu weźmie górę, galicyjski czy moskiewski — jest dziś najważniejszem pytaniem w całej Europie. „Gazeta Narodowa" nie wątpi o hr. Gołuchowskim, autorze memoryału podanego hr. Andrassemu, który to, ma się rozumieć memoryał, jest alfą i omegą programu politycznego hrabiego posła. Wszystko to dobrze, powiecie czytelnicy, ale co my teraz będziemy robić we Lwowie? Do Wielkiej nocy jeszcze daleko, mobilizacyi jakoś nie widać, handel ustaje, kredyt już nawet leży ze zmęczenia, a ruchliwy umysł mieszkańców z pod Wysokiego Zamku gotów zapleśnieć na dobre, jeżeli sobie nie wynajdzie nowej agitacyjki lub czegoś, coby zaaferować mogło uwagę powszechną.

Już to najwyczajniejszą strawą przy takiej posusze politycznej są zawsze wybory, przedmiot wstrząsający do żywego wszystkie warstaty lwowskie. A zatem czyby nie można tak naprzykład wysadzić z siodła którego z negliżujących się albo też niedorosłych posłów, jak pana Wolskiego? Narzeka w listach otwartych, że mu koło poselskie knebluje usta, że z pełnemi kieszeniami materyałów, a głową nabitą retorycznemi frazesami musi słuchać przemówień Dr. Czerkawskiego gdy idzie o drugie gimnazyum we Lwowie, więc proszę was, co mi to za poseł, który jak potrzeba strzelać, nie ma odwagi pociągnąć za cyngiel? Czyśmy go na to wybrali, aby zawsze był w mniejszości, a przed nami wywodził płaczliwe trele, że mama nie pozwoliła? Nie, szanowni obywatele, taki poseł obraża honor pierwszego miasta w Galicyi! Wezwijmy go tedy, aby złożył swój mandat, a za to wybierzemy takiego, który jak się rozgada w Wiedniu, to koło polskie zje licha, jeżeli znajdzie wolną chwilę do wypuszczenia pary z ust swoich! Sądzę, że pan Jolles tym razem zgodzi się ze mną, bo będzie mógł dokończyć swojej mowy, którą mu dość niegrzecznie przy ostatnich wyborach sykaniem przerwano. Już to trzeba przyznać, że dla przeciętnego Lwowianina, trybuna w sali ratuszowej jest ulubioną szkołą parlamentaryzmu. I aby módz stanąć na niej z zapuszczonemi rękami do obu kieszeni, gotów co tydzień strącać starych posłów i przekonywać publiczność, że on nawet sam od biedy nie źleby wyglądał w wiedeńskim Reichsracie.

Wobec tak ważnych spraw zaprzątających umysły lwowskie, jakoś niespostrzeżenie przechodzi fiasko pani Mantyli, którą Dyrekcya teatrów chciała pokryć zdwojone ceny na przedstawieniu opery miejscowej. Pokazało się bowiem, że za połowę ceny panna Gabbi daleko lepiej śpiewa, mimo to, że o tem petersburgski „Gołos" nie dawał żadnej relacyi. Zagrożeni utratą opery, którą Dyrekcya ma zamiar podobno na trzy miesiące wiosenne puścić na trawę, płacimy po 15 reńskich za lożę, aby na ten czas zgromadzić w piersiach zapas boskiej melodyi rekomendowanej przez „Gołosa". Tymczasem cóż się pokazuje? Oto trafili na resztki objadu, które zapłaciwszy drogo, bądź co bądź skonsumować potrzeba".

Uproszone zaloty opieczętowanego autora i *Mąż od biedy* pana Blizińskiego więcej zajęły publiczność lwowską. Szczególniej ten mąż od biedy jednogłośnie okrzyknięty został za małe arcydzieło. Już to pan Józef potrafi nawet od niechcenia grać na sercach słuchaczy, przeplatając swoją melodyę raz pustym śmiechem, drugi raz płaczem z głębi duszy. Niech mu więc pan Bóg da zdrowie, humoru nie odbiera, a mamy nadzieję, że ujrzymy niedługo *Żonę od biedy*, która nam się po takim mężu jako pendent koniecznie należy. Szczególniej płeć piękna dla swej rehabilitacyi oczekuje od pana Blizińskiego pewnego w tym względzie zadośćuczynienia, którego szanowny autor odmówić jej nie powinien.

Gdyby ostatnia stacya kolei żelaznej przed Rzymem nazywała się tak samo jak przed Lwowem Zimną wodą, deputacya polska wysłana w tych dniach do ojca świętego, nie potrzebowałaby się dziwić, że ją tam obleją tą wodą dla otrzeźwienia. Ogłoszony list Leona XIII. do cara, w którym Władca sumienia katolickich poddanych Aleksandra II. nie wątpi o wiernopoddańczych uczuciach Polaków, już w drodze przekona tych panów, czego się po przyjęciu w Watykanie spodziewać mogą. Książę Urusów wyprzedził ich w Rzymie, a car zapewnił ojca świętego o swych ojcowskich uczuciach dla poddanych katolickich o tyle, o ile te uczucia zgodne są z zasadniczemi ustawami państwa, które sam stanowi i sam ich wykonania pilnuje, jak to miało miejsce z podlaskimi Unitami. Listy w ten sposób przedstawiające zamianę serdecznych wynurzeń dostojnych korespondentów, przyznajemy, bardzo przykre wywołały wrażenie w tutejszej publiczności, w którą wmówiono, że w papieżu powinna widzieć więcej niż opiekuna spraw duchownych Polaków, bo opiekuna nieprzedawnionych praw do samodzielności politycznej. Niechże więc pochopność nasza do wszelkich tego rodzaju żebranin raz jeszcze się przekona, że wyciąganie ręki i pokorne schylanie czoła nawet przed tronem namiestnika Chrystusowego nie prowadzi do celu, jaki sobie założyliśmy. Ci co nas wyprowadzają na te pielgrzymki żebracze, tyle myślą o sprawie polskiej, ile my naprzykład o taryfach kolejowych bezpośredniej komunikacyi, które zniszczyły handel zbożowy w Galicyi. O ile my mamy swoją wielką politykę nad Bosforem, o tyle partya wiodąca nas przez Rzym do królestwa niebieskiego troszczy się o znikomą przyszłość samoistności narodowej. Tymczasem w domu bieda aż piszczy, przemysł wielki i drobny upada, handel się kurczy, lud nie ma co jeść, nie ma gdzie zarobić, nie ma czem zasiać, a my trzymający to niby prym w narodzie, harcujemy zawzięcie na wielkiej szkapie narodowej, tratując te biedne mrówki robocze, które już nie mają sił do łatania mrowisk domowych tak niebacznie przez wielkiego konia rozwalanych.

W ostatnich czasach Wydział krajowy bierze się energicznie do ożywienia jakiegobądź ruchu przemysłowego w narodzie, zwołując ciągłe ankiety i odbywając narady celem podniesienia górnictwa, przemysłu domowego, regulacyi Dniestru i innych pożytecznych przedsięwzięć, które o własnej sile stąpać nie mogą. Tak zwana ko-

misya kultury krajowej postanowiła urządzić stałe biúro inżyniera górniczego, któreby dostarczało i potrzebującym i władzy wszelkich wiadomości technicznych lub statystycznych w dziedzinie górniczej, jak dotąd ograniczonej do eksploatowania nafty. Uznano, że pogłębianie studni może powiększyć znacznie tę eksploatacyę, a wyjednanie opieki rządu nad tym przemysłem, przyjmując go do rzędu regaliów, pozwoli mu rozwinąć się w warunkach normalnych. Regulacya Dniestru jest również na porządku dziennym; w tej mierze z całą oględnością czynią się badania na miejscu, dyskutują plany osuszenia okolic tej błotnistej rzeki, i mamy nadzieję, że Wydział krajowy pod dotychczasowem przewodnictwem doprowadzi to trudne dzieło do pomyślnego rezultatu.

I na polu literackiem, mimo stagnacyi niesłychanej, działalność wydawców nie ustaje. Ufni w lepszą przyszłość, idą oni naprzód w nadziei, że publiczność polska oceni te ich zasługi zmierzające do podniesienia ducha i rozumu narodowego. Szkoda tylko, że między wielu pożytecznemi przedsiębiorstwami, wyłażą i efemeryczne, których treść anegdotyczna zlepiona bez ładu i składu, odgrzewana, a mimo to jak pęcherz wydęta swoją wielkością, nie ma warunków nawet jednodniowego żywota. Przeczytawszy cały arkusz niesmacznych facecyi i niby to lwowskich nowinek, czuje się pewien żal zmarnowanego papieru, zużytej farby i czcionek, tudzież drogiego czasu ludzkiego na ich czytanie.

Jakkolwiek Lwów ma okolicę dość bagnistą i pełne piwnice wody, to jednak bocianów nam nie brak, bo zdaje się mamy ich więcej niż żab mogących iść na ofiarę bocianich apetytów. Obawiamy się zatem, czy zapowiedziane nowe bociany, wkrótce nie doświadczą galicyjskiego głodu, który i bez nich powraca do nas peryodycznie co lat parę, i czy w braku odpowiedniego zapasu materyałów spożywczych, nie wezmą się do kurcząt, kacząt i innego drobiu lwowskiego, który jak wiadomo jest trudnym do strawienia dla obcych przybyszów.

Razem z zapowiedzianymi bocianami, dostaliśmy bardzo ponętny prezent od ś. p. pułkownika Zahorskiego, który zapisał nam Polakom austryackim nie złą sumkę guldenów w kwocie 570.000 Połowa tej darowizny ma być użytą na cele humanitarne, druga na rzecz kościoła katolickiego w Galicyi podług uznania i dyspozycyi wyznaczonych przez testatora kuratorów. Wprawdzie jeszcze lat trzy potrzeba będzie czekać nim te pieniądze procentem od siebie zapłacą dług 50.000 zł., jednak czekanie to apetytowi naszemu nie zaszkodzi, a może nawet zachęci innych szlachetnych dawców do naśladowania pułkownika Zahorskiego. Gdy idzie o cele oświaty ludowej, bo spodziewamy się, że tam będą skierowane przeważnie intencye egzekutorów testamentu, to nigdy nie będzie za wiele, aby ten biedny lud wyrwać ciemnocie i przysparzać krajowi rzeczywistych obywateli i patryotów.

A propos patryotów. Pewien żyd z Warszawy, nie przypominamy jego nazwiska, ale może czytelnicy sobie przypomną, ten sam co zakupił obraz Matejki *Iwan Groźny*, zakupił obecnie za 50.000 nie wykończony jeszcze obraz tegoż mistrza, przedstawiający *Bitwę Grunwaldzką*. Nowy ten obraz mieliśmy sposobność oglądać. Jest on, o ile z wykończonych już części sądzić można, arcydziełem nieporównanem. Szczególnie postać Witolda, jego koń robią wrażenie zdumiewające.

TEATR.

(„Uproszone zaloty,“ komedya w trzech aktach wierszem, polecona do grania przez lwowską komisyę konkursową. „Mąż od biedy,“ komedya w 1 akcie Józefa Bliźińskiego.)

Pani Bohdańska, wdowa, ma córkę Basię. Pan Sędzimir, jej przyjaciel, ma syna Ludwika. Basia ładna, Ludwik przystojny, podobają się sobie; rodzice młodych oddawna ułożyli to małżeństwo. zdaje się więc, że nicby nie powinno stać na przeszkodzie. A tymczasem przeszkodą jest właśnie to, że nie ma żadnej przeszkody. Ludwik jest wybujałym romantykiem, skarb łatwo pozyskany nie jest dla niego skarbem, nie może on pokochać istoty, po którą tylko dość rękę wyciągnąć, aby ją posiąść. Trzeba mu przeszkód koniecznie. Zdanie to wypowiada ojcu, ojciec tedy, stosując się do romantycznej wyobraźni swego syna, urządza mu po cichu przeszkodę.

Uprasza starego, ale majętnego majora Gamrata, aby starał się, dla pozoru tylko, o rękę Basi. Major, znakomicie wykończony typ wojaka, łgarza i samochwała, z początku waha się, bojąc się o dziewczynę, aby się naprawdę w nim nie zakochała, bo ileż to on w swojem życiu panien odkochał! Wreszcie zgadza się, bo cóż ostatecznie, w najgorszym razie może się ożenić z Basią. Ta myśl mu się uśmiecha: dobra to jest rzecz

Mieć sobie, sam dla siebie, swoją własną żonę!

Tryumf majora nadspodziewanie prędki. Figlarna Basia domyśliła się, o co chodzi: udaje zakochaną w majorze, a nawet wyraźnie mu powiada, aby się oświadczył matce o jej rękę. Tymczasem w Ludwiku zaloty majora obudzają chęć pozyskania ręki Basi. Przeszkoda, urządzona przez ojca, zrobiła swoje, ale potrzeba teraz i tę przeszkodę usunąć. Robi się to bardzo delikatnie, bez obrażania majora, który w gruncie pod grubą warstwą śmieszności musi być poczciwcem. Kluczyńska, ochmistrzyni pani Bohdańskiej, namówiona przez Basię, w najczarniejszych kolorach odmalowuje majorowi charakter tej ostatniej. Oho! major nie głupi, postanawia wycofać się i pragnie podstawić za siebie Ludwika. Rzecz zatem naturalnie kończy się ku powszechnemu zadowoleniu.

Komedya napisana jest starym krojem: satyry społecznej, żywego tła społecznego nie ma w niej wcale. To też nie zdziwilibyśmy się, dowiadując się, że była napisaną przed pięćdziesięciu laty. Wygląda ona, jakby wyszła z pod pióra starego Fredry: wiersz ma tak samo lapidarny, charakterystykę postaci równie udatną, fabułę może nawet szczęśliwiej zaokrągloną, tylko pod względem werwy stanowczo ustępuje pierwszeństwa komedyom Fredrowskim. Dla tego nie sprawiła wrażenia w teatrze; przyjęto ją daleko chłodniej, niż „Artykuł 264,“ który niewątpliwie jest pod względem sztuki znacznie niższym od niej utworem.

Z „Artykułem 264“ stanowią „Uproszone zaloty“ poniekąd zupełną sprzeczność. Tam fabuła niejasna, pogmatwana, nieprawdopodobna, zastawioną jest luźnemi, ale barwnemi scenami, których zadaniem jest utrzymywać ruch na scenie, bawić oczy widza, autor nie ogląda się bynajmniej na całość. a goni tylko za efektem chwilowym; tu fabuła, nie bardzo świeża wprawdzie, ale prosta, wyraźna, naturalna, rozwija się powoli, spokojnie, zanadto może spokojnie; autor mając całość na oku, nie chce kokietować z publicznością, a nawet w dozwolony sposób nie wyzyskuje sytuacyi. Za to zachodzi podobieństwo między temi dwiema sztukami pod tym względem, że jednej i drugiej zupełnie jest obcą tendencya, z tą tylko różnicą, że pierwsza zdaje się mieć jednak jakąś pretensyę do tendencyi, a druga nie ma jej wcale.

Wspomniałem już o znakomitem wykończeniu postaci majora. Jest to typ nie nowy, bardzo nie nowy, i gdyby zajrzeć do genealogii typu wojakówsamochwałów, to okazałoby się, że Miles gloriosus Plauta, jeżeli jeszcze nie ktoś starszy, jest ich protoplastą; mimo to jest on zawsze świeży, bo tryb życia żołnierskiego, w istocie swojej zawsze jednakowy, zawsze podobne wytwarza typy. Inne postacie przy majorze wyglądają trochę blado, jakkolwiek nie brak im zaokrąglonej charakterystyki.

Lepiej przedstawić majora, jak to uczynił pan Fiszer, niepodobna. Widać było, że artysta ten włożył wiele własnych spostrzeżeń w swoją rolę, to też ze starego typu stworzył postać prawdziwie oryginalną. Panu Walewskiemu, który występował w roli Ludwika, należy się wiele uwag. Przedewszystkiem artysta ten powinien trochę mniej pamiętać o publiczności, to jest nie powinien rozpaczliwie usiłować, aby każdem słowem wywierać efekt na widzach, bo tą drogą nigdy nie dojdzie do pożądanego celu. Pan Walewski jest inteligentnym artystą: jeżeli zechce lepiej sobie zdawać sprawę z całości roli, więcej przejmować się tą całością, grać trochę spokojniej i z mniejszym wysiłkiem deklamować, a ujrzy się na wysokości powodzenia, do której teraz tak gwałtownie się wspina.

Komedyjka pana Józefa Bliźińskiego „Mąż od biedy“ tak wygląda przy „Uproszonych zalotach“ jak malowidło o niezaschłych jeszcze farbach przy jakiejś misternej wprawdzie, ale nieco spłowiałej robocie włóczkowej. Możnaby tę komedyjkę nazwać „obrazkiem folwarcznym,“ a jest to obrazek tak świeży, tak oryginalny, tak żywcem naturę przenoszący na deski, że świecić będzie jak prawdziwy klejnocik w repertoarzu naszej sceny.

Oto żywioły komedyi: stosunek oficyalisty, poczciwego biedaka, do żony, „obywatelskiej córki, rozczytanej w romansach, dumnej z „obywatelskiego“ pochodzenia i zaginającej parol na młodego kuzynka dziedziców, któremu wcale o co innego chodzi, niż o jej piękne oczy; stosunek oficyalisty do tegoż kuzynka, który chce rządcę wyrzucić z folwarku, ażeby sam mógł wziąć folwark w dzierżawę, i do państwa dziedzicostwa. bezdzietnej pary starych, a dobrodusznych niedołęgów; wreszcie wzajemny stosunek tych ostatnich do siebie. Odmalowanie tych stosunków z flamandzką wiernością, i charakterystyka osób działających stanowi tu główne zadanie komedyopisarza; przeciwnie intryga odgrywa dość podrzędną rolę.

Obsada ról była nadzwyczaj szczęśliwą i szczerze jej można powinszować dyrekcyi, jak i w ogóle całego przedstawienia tej komedyjki. W roli „Męża od biedy,“ rządcy Szymelskiego, wystąpił niespodziewanie, a z wielkiem powodzeniem p. Kwieciński. Bardzo odpowiednią „córką obywatelską“ była pani Terenkoczy, głównie jednak powodzenie opierało się na znakomitej grze p. Dobrzańskiego w roli starego niedołęgi dziedzica. Muszę wspomnieć jeszcze o pani Zimajer, która idealnie przedstawiła typ dziewki folwarcznej.

J. T.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Morderca prof. Girsztofta znalazł nad wszelki wyraz gorliwego obrońcę w adwokacie Janie Nepomucenie Kamińskim, który nie zadowolony z wyroku sądowego, wniósł rekurs do Izby sądowej warszawskiej, a nie otrzymawszy skasowania wyroku, zaniósł skargę do Senatu petersburskiego. O co mu jednak idzie? P. Kamiński stara się głównie udowodnić, że morderca Sroczyński jest prawie idyota, a więc jako niezupełnie poczytalny powinien być lżej sądzony. Ileż to jest spraw takich, gdzie ludzie niewinni giną, nie mając możności obrony, niechby p. Kamiński szukał pola popisu w takich sprawach, a oddałby większą ludzkości usługę jak broniąc rzeczywistego mordercy, chociażby nawet i idyoty.

*** Od 1. maja rb. wychodzić będzie w Warszawie pismo dwutygodniowe w języku francuskim pt. *Revue slave* pod redakcyą p. A. de Fontaine.

*** W dalszym ciągu historycznych powieści J. I. Kraszewski przygotował już do druku dwutomową powieść pt. *Dunin*, jest to siódma z kolei powieść. W dalszym ciągu wyjdzie *Stach z Konar* (Kazimierz Sprawiedliwy), która jest obliczoną na 3 tomy.

*** Pan Sygurd Wiśniowski przygotowuje do druku polski przekład w skróceniu *Podróży i odkryć Stanley'a*, który wyjdzie w Warszawie w wydaniu illustrowanem.

*** *Historya Polska* F. G. Dmochowskiego wyszła w nowem wydaniu.

*** Już nadszedł do Lwowa tom I. Wydawnictwa Jubileuszowego J. I. Kraszewskiego zawierający dwie jego powieści: *Rzym za Nerona* i *Pamiętniki*

Mroczka. Wydanie to jest bardzo tanie, gdyż tom kosztuje 1 złr. a cała serya 15 tomów we Lwowie 10.80. W zwykłem wydaniu kosztowałoby ze 30 złr. co najmniej.

⁂ *Poezye Karola Świdzińskiego* opuściły prasę nakładem Władysława Belzy w ładnem, starannem wydaniu.

⁂ „Kuryer Lubelski“ rozszerza coraz więcej swą działalność. Od pierwszego lipca będzie on wychodził codziennie. Przy tej okoliczności nie od rzeczy będzie dać słów kilka o historyi „Kuryera.“ Pierwsze prawie pismo prowincyonalne u nas założone przez ś. p. J. Liedtkiego w r. 1865, „Kuryer Lubelski“ wychodził z początku na dwóch maleńkich kartkach, najpierw dwa, następnie zaś trzy razy na tydzień. W r. 1868 redakcya przeszła w ręce śp. Ludwika Dembowskiego, wydawnictwo zaś objęła firma Wł. Kossakowskiego. Następny redaktor śp. Antoni Wdowiński, który kierował „Kuryerem“ w ciągu lat kilku, powiększył format pisma. Od roku 1876 „Kuryer“ zaczął wychodzić pod redakcyą p. S. Głębockiego i cieszy się, pomimo pierwotnych trudnych warunków, coraz większem powodzeniem.

⁂ Co się stało z zapowiedzianem niedawno wydawnictwem pisma peryodycznego w Tarnopolu nie nie wiemy. Obecnie czytaliśmy prospekt pisma mającego wychodzić w Przemyślu pt. „San.“

⁂ *Zmowa adwokatów* wybuchła w Lyonie. Jeden z nich został obrażony przez prezydenta trybunału apelacyjnego: prezydent nazwał jego plaidoyer niedorzecznością. Adwokaci zażądali, aby obrażonego przeprosił; prezydent nie chce tego uczynić, a adwokaci postanowili nie bronić żadnej sprawy w trybunale apelacyjnym, dopóki nie stanie się zadość ich żądaniom.

⁂ *Gewerbe halle*, wspaniała publikacya wychodząca w Stutgardzie (pod redakcyą Schill'a) w językach: niemieckim, francuskim, angielskim, włoskim, holenderskim i hiszpańskim, ogłosiła iż pragnie zamieszczać tekst polski, byleby znalazła odpowiednie poparcie w naszym kraju. Byłby to istny skarb dla wszystkich gałęzi przemysłu, skoro w piśmie rzeczonem zarówno architekt, jak rzeźbiarz, stolarz, złotnik, ślusarz i wszelki rzemieślnik przepyszne wzory oparte na arcydziełach znaleść może. Zmarły Wiktor Makarewicz dostarczał do Gewerbe halli polskich zabytków.

Aby pomieniona propozycya mogła się przyjąć, potrzeba przedewszytkiem poparcia naszych przemysłowców.

Dzienniki wpłynąćby mogły na rozpowszechnienie propozycyi co do polskiego tekstu, przez pomieszczenie w swoich łamach odpowiedniej wzmianki.

⁂ *Marek Antokolski*. Nazwisko tego młodego rzeźbiarza zaczyna coraz szerszego nabierać rozgłosu. Artysta bawi w Paryżu, i oto, co o nim między innemi pisze korespondent paryski do *Indépendance Belge*: Rodem z Wilna, pan Antokolski należy do najbardziej upośledzonego plemienia naszej Europy zachodniej — do plemia polsko-żydowskiego. Mówi on trochę po rosyjsku, trochę po niemiecku, mniej jeszcze po francusku, a wszystko źle. W dzieciństwie, jak mówią, chwytał się najrozmaitszych i najsmutniejszych zajęć, by się wyżywić; był terminatorem szewskim, posługaczem szynkarskim, Bóg wie czem jeszcze, i zewsząd był wydalanym, nie dla złego sprawowania się, lecz dla tego, że ilekroć wpadł mu w rękę kawał drzewa, noga stołowa, czy poręcz od krzesła, nie mógł się oprzeć pokusie i strugał figury, jakie mu wyobraźnia nasuwała. Trudno wypowiedzieć, przez jakie cuda cierpliwości, pracy i woli niezłomnej, dobił się dłuta i młotka, odbył podróż do Rzymu i wreszcie ujrzał się przed bryłą marmurową, by rozpocząć walkę ducha z materyą. Wyszedł z niej zwycięsko i dziś jest sławny. Jakiś bogaty kupiec, grający rolę mecenasa, rzekł mu pewnego dnia: „Masz oto 10.000 rubli! Zrób mi za to, co sam zechcesz!“ Pan Antokolski zrobił mu posąg Chrystusa, który miałem sposobność dziś oglądać. Któryś z filozofów niemieckich, zdaje się Schopenhauer, wyrzekł gdzieś: „Jeśli znajdujesz się przed dziełem sztuki, wyobraź sobie, że stoisz przed majestatem królewskim; czekaj w milczeniu, aż do ciebie przemówi.“ Czekałem więc, ale nie długo. Posąg ten przemawia szybko i głośno, jest wymowniejszy od autora. Posąg ten będzie na wystawie wraz z innym posągiem, który pierwszy zjednał mu rozgłos w artystycznym świecie, t. j. z posągiem „Iwana Groźnego“ Oczekuje także p. Antokolski z Rzymu swego ostatniego dzieła z marmuru — martwego Sokratesa, który sam stawia wyżej nad wszystkie swe poprzednie utwory. Korespondent powiada wreszcie, że p. Antokolski, ugruntowawszy własną swą sławę w konkursie wszecheuropejskim na trzech prawdziwych arcydziełach, przyniesie chlubę plemieniu swojemu i krajowi. Nadzieje te, życzyć tylko należy, oby się ziściły.

Stowarzyszenia.

⁂ *Sprawozdanie Towarzystwa pomocy naukowej dla księstwa Cieszyńskiego*. Towarzystwo to, założone na kresach ojczyzny naszej i mające na celu wydobyć z ludu siły, któreby skutecznie walczyły przeciwko napierającemu z zewnątrz germanizmowi, skończyło piąty rok istnienia swego. Towarzystwo nie tylko daje uczącej się polskiej młodzieży pomoc, ale samo stara się skierować ją ku pewnym pożytecznym krajowi zawodom. Właśnie teraz dyrekcya zastanawia się nad projektem utworzenia stypendyum, któreby dało możność wysłania jednego ze zdolniejszych wiejskich młodzieńców do wyższej szkoły rolniczej polskiej, obowiązując go, ażeby następnie osiadł na gruncie własnym i mógł nauką swoją odsługiwać się ziomkom, i ażeby w ten sposób rolnicy wiejscy mieli w nim dobry przykład i życzliwego nauczyciela. Myśl bardzo piękna, która zasługuje na jak największe poparcie i naśladowanie!

Towarzystwo bardzo szczęśliwy miało pomysł, ustanawiając *wieczystych członków* t. j. takich, którzy zapłaciwszy raz 20 złr., zostają na zawsze wciągnięci na listę członków towarzystwa z wkładką roczną 1 złr. 29 cent., licząc 6% od złożonej kwoty. Liczba wieczystych członków w ciągu pięciu lat wzrosła do 30. W upłynionym roku jako wieczyści członkowie przystąpili do towarzystwa: Hr. Józef Miączyński, właściciel dóbr Palików pod Brodami; p. Aloizy Lupiński, fabrykant w Bielsku; oraz sześciu właścicieli ziemskich z Królestwa Polskiego: pp. Gustaw Zieliński, Józef Feliks Zieliński, Józef Zieliński, Antoni Nałęcz, Artur Rutkowski i Franciszek Wilczewski. Przychód z wkładek członków wieczystych wraz z procentami od dawniejszych wynosił w roku ubiegłym 214 złr. 3 ct.

Zwykłych członków, którzy obowiązani są płacić 1 złr. wkładki rocznej, liczy towarzystwo 523. W stosunku więc do zeszłego roku, powiększyła się ich liczba o 36. Z Galicyi bierze udział w towarzystwie 157 osób, w zeszłym roku przybyło nowych członków 38. Prowincya ta przyczynia się do wspierania celów towarzystwa w następującym stosunku: Lwów daje 93 członkow; Stanisławów 15; Kraków, najbliższy od Cieszyna, tylko 11; Tarnów 8; Radziechów 3; Kołomyja i Brzeżany po 2; reszta zaś członków (23) przypada na rozmaite inne miejscowości. Wypada atoli na korzyść członków krakowskich zauważyć ten szczegół, że wnoszą większe wkładki od innych. Przychód z wkładek członków zwyczajnych w roku 1877 wynosił 523 złr. 80 ct.

Trzeciem źródłem dochodu towarzystwa były dary dobrowolne, wynosiły one kwotę 244 złr. 74 ct. Największy dar, bo 143 złr., złożyła *polska młodzież, ucząca się w Petersburgu i w Warszawie*. Podnosimy ten szczegół, chlubnie świadczący o poczuciu solidarności narodowej pomiędzy naszą młodzieżą. Oby zachęcił on i inną uczącą się młodzież do zamanifestowania swych uczuć w tym kierunku!

Całkowity dochód towarzystwa w roku piątym wynosił 1099 złr. 25 cent. Z tej kwoty dyrekcya przeznaczyła 455 złr. na zapomogi naukowe, a 543 złr. 48 ct. włączyła do kapitalizującego się majątku towarzystwa, który obejmuje już obecnie sumę 3491 złr. 33 ct.

Z kwoty, przeznaczonej na zapomogi, uzyskali wsparcie: 1.) 3 słuchacze filozofii, jeden w Krakowie 80 złr., dwaj w Wiedniu po 50 złr.; 2.) 2 słuchacze medycyny, jeden w Wiedniu, drugi w Krakowie po 60 złr.; 3.) 3 teologowie w Ołomuńcu po 15 złr.; 4.) 1 kandydat nauczycielstwa 20 złr.; 5.) 6 gimnazyalistów, z tych dwaj po 15 zł., dwaj po 10 złr. w Cieszynie i dwaj bracia w Bielsku 40 zł.

W ostatnich dniach przystąpili we Lwowie do towarzystwa: pp. Mikołaj Biernacki (ulubiony nasz piosenkarz Rodoć), Hilary Jaworowski i Józef Wallach.

Redakcya nasza chętnie pośredniczy w przyjmowaniu wkładek i darów dla Towarzystwa pomocy naukowej w Cieszynie. Wreszcie można je przesyłać bezpośrednio na ręce sekretarza towarzystwa, p. Pawła Stalmacha, redaktora *Gwiazdki Cieszyńskiej*.

ROZMAITOŚCI.

List Modrzejewskiej.

Zasłużony nestor sztuki, były dyrektor teatrów warszawskich, p. J. S. Jasiński, otrzymał w ubiegłą sobotę list z Bostonu od pani Heleny Modrzejewskiej. List ten opiewający w streszczeniu dzieje pobytu znakomitej artystki w Ameryce, nieobojętnym zapewne będzie dla czytelników. Powodowani tą myślą, zamieszczamy tutaj za „Kuryerem Warszawskim“ główniejsze z niego wyjątki:

Boston, 28. lutego 1878 r.

Mój drogi ojcze! Z całego serca i po tysiąc razy dziękuję za list. Ucieszyłam się nim jak dziecko, jednak po odczytaniu go dokładnem, niewysłowiony smutek mnie ogarnął. Widzę, że byłeś smutny, pisząc do mnie. Nie trzeba się poddawać przykrym myślom, mój drogi ojcze. Co do mnie, mam nadzieję, że cię zobaczę na wiosnę zdrowym i czerstwym.

Zamierzam pojechać na wystawę paryską, a ztamtąd już wszędzie mi blisko będzie.

Piszesz mi ojcze, żebym ci opowiedziała co o sobie. Wszystkiego opowiedzieć nie mogę, bo to za długa historya, ale w krótkości napiszę co będę mogła.

Opuściwszy Europę w czerwcu 1876 r., udaliśmy się do Nowego Yorku i Filadelfii. Wystawa nie zachwyciła mnie. Nowy York znudził nas wszystkich, pewnie dla tego, że żadne z nas nie rozumiało ani słowa po angielsku. Ja pomimo lekcyi, które poprzednio brałam, nie potrafiłam się z pokojówką hotelową rozmówić, ani też nie rozumiałam co do mnie mówiono. Nie marzyłam zatem nawet o scenie angielskiej. Z Nowego Yorku udaliśmy się statkiem do Panamy.

W drodze mieliśmy wypadek, maszyna pękła, dwóch ludzi ugotowało się w parze — i nasz statek był zmuszony wrócić do Nowego Yorku, remorkowany przez maleńki parowiec angielski. Natychmiast po przybyciu do Nowego Yorku, wzięliśmy inny statek i już bez przeszkody, zwiedziwszy cudowny przesmyk, przybyliśmy do San Francisco.

Tam nas przywitali Horain i Piotrowski, szlachcic świeżo wycięty z pamiętników Paska, który powtarza: „Jak ciocię kocham—primo principale, panie dobrodzieju,“ a jak wpadnie w zapał lub zdziwienie, woła, podnosząc w górę tłusty podbródek: „Panie! Ty słyszysz, a nie grzmisz!“

Możesz pojąć ojcze, jak się zadziwiłam, usłyszawszy nad Oceanem Spokojnym pierwsze: „Niech będzie pochwalony“ i „jak ciocię kocham!“

Zabawiliśmy w San Francisco miesiąc blisko, a poznawszy tam innych ziomków, wyruszyliśmy do Los Angelos.

W bliskości tego miasta mój mąż kupił fermę, na której zamierzaliśmy żyć spokojnie dwa lata, poczem mieliśmy wrócić, albo zostać tu na zawsze, zależnie od naszych kapitałów i chęci. Po trzech jednak miesiącach owego pełnego wdzięku i cudownych wspomnień życia, zaczęłam spostrzegać, że interesa fermy źle idą, że gospodarstwo polskie nie odpowiada warunkom kalifornijskiego sposobu fermowania, że coraz mniej pieniędzy w kasie, a coraz to nowe wydatki, widząc nareszcie, że niepodobna było dłużej nad kilka miesięcy pozostać, postanowiłam wrócić do Warszawy, lecz przeszkody, niezależne odemnie, nie pozwoliły mi wykonać tego zamiaru.

Szczęście, że od początku mego pobytu w Ameryce uczyłam się pilnie po angielsku. Po wytrwałej nauce i wielu niewesołych przygodach, już w lipcu roku 1877 byłam przygotowaną do wystąpienia na angielskich scenach w roli Kleopatry, Adryanny i Julietty Szekspira.

Udałam się więc do San Francisco, poszłam do dyrektora teatru i — dostałam odmowną odpowiedź. Wróciłam do domu w rozpaczy, ale nie zwątpiłam.

Na drugi dzień poszłam do dyrektora znowu i prosiłam, żeby był łaskaw posłuchać mnie, że zagram przed nim ostatni akt Adryanny, a potem będzie mógł mi na pewno odpowiedzieć, czy mogę występować. Wahał się przez chwilę, ale widząc (jak później mi to powiedział), niezwalczoną chęć w mojem spojrzeniu — zgodził się na próbę.

Ustawiłam scenę. Moja nauczycielka miała czytać role Michoneta i Maurycego, a ja zaczęłam swoją. Dyrektor słuchał mnie bardzo uważnie, a po skończeniu, przystąpił do mnie z wielkiem uszanowaniem i rzekł:

— Ja myślałem, żeś pani debiutantka, nie sądziłem nigdy, że zobaczę skończoną artystkę.

Proszę się nie śmiać, ale powtarzam to co powiedział.

Na drugi dzień odbyłam drugą próbę przed wspólnikiem dyrektora i już potem oba wzięli mnie w opiekę.

Po mojem pierwszem wystąpieniu, cała prasa złożyła mi wyrazy uznania, chwalono mnie bez miary, pisano wiersze, a dyrektor Collough płakał jak dziecko w mojej garderobie. Był to dla mnie prawdziwy tryumf.

Zaraz na drugi dzień agent H. J. Sargent zgłosił się do mnie, ofiarując mi korzystne warunki, które przyjęłam i obecnie pod jego dyrekcyą jeżdżę, zdobywając miasto za miastem.

Na moim pierwszym występie w Bostonie był wielki poeta amerykański Longfellow, oraz trzydziestu literatów i dziennikarzy.

Jutro idę na śniadanie do pana Longfellowa, który mnie osobiście chciał poznać i w tym celu dziś mi złożył wizytę. Jest to zaszczyt, który mało kogo spotyka.

Na tydzień przed przybyciem mojem do Bostonu bilety na cały tydzień były rozprzedane. Od piątej godziny z rana ludzie czekali przed kasą. Gram Adryannę, Juliettę i Dame aux camelias, którą tu zowią po prostu Kamillą.

Jak wielkiego doznaję tu powodzenia, opowiem ci to ojcze, gdy się zobaczymy.

Ściskam serdecznie kochanego ojczunia i życzę zdrowia. Chciałabym Mu mojego użyczyć — mam go dosyć, aż się sama dziwię, zkąd go się tyle bierze. Gram codzień, a czasem dwa razy na dzień.

W ten tydzień grałam we środę dwa razy i w sobotę grać będę dwa razy, a na przyszły tydzień w środę, czwartek, piątek i w sobotę po dwa razy codzień; ci bowiem, co nie mogli dostać biletów, wyprosili sobie osobne przedstawienie w dzień. *Sempre la stessa.* *Helena Modrzejewska.*

FONOGRAF.

Jedno z najciekawszych doświadczeń miało miejsce 12 b. m. w akademii nauk w Paryżu. Robiono po raz pierwszy próbę z fonografem, cudownym przyrządem, pomyślonym przez p. Edisona, przewyższającym o wiele telefon, który jest jego bratem mlecznym.

Fonograf nietylko że przenosi dźwięki na wielkiej przestrzeni, lecz je oddaje adresantowi zachowane dokładnie.

Oto jeden szczegół prób, które się odbyły w akademii nauk.

Reprezentant p. Edisona wymówił w trąbkę głośno i wyraźnie następujące zdanie:

„Fonograf zasyła ukłony akademii nauk."

Aparat został natychmiast zatrzymany, w dwie minuty potem, wszyscy asystujący tej próbie usłyszeli te same wyrazy, zdające się być wymówionemi przez brzuchomówcę. Powtórzono doświadczenie ze zdaniem następnem:

— Panie fonograf, czy mówisz po francusku?

— Tak, panie.

Jednogłośne oklaski nastąpiły po wypowiedzeniu tego zdania.

P. Moncel próbował sam fonografu.

— Akademia — powiedział, przykładając usta do rurki telefonicznej — dziękuje p. Edisonowi za jego interesujące doniesienie.

Lecz zdanie to nie było oddane tak wyraźnie, jak dwa pierwsze.

Aparat, który widziano, był jednym z najpierw wybudowanych, p. Edison zastosował już w nim wiele ulepszeń.

Wynalazł on, prócz tego, inny przyrząd, zwany *aerofonem*, za pomocą którego mówca z najsłabszym nawet głosem, może być słyszanym przez 50,000 osób.

Podobne doświadczenia robione były w Anglii, znajdujemy ciekawy ich opis w dziennikach angielskich.

Oto — powiadają one — telefon został znacznie pozostawiony w tyle przez fonograf. Pierwszy przenosi raz tylko słowa z jednego miejsca w drugie, drugi je stereotypuje, zachowuje i wydaje tyle razy, ile odeń tego zażądają. „Standard," który opowiada ten fakt, dodaje trafne spostrzeżenia, których kilka przytoczymy.

Wynaleziono — mówi dziennik ten — przyrząd, który sposobem niełatwym do pojęcia, notuje i oddaje dźwięki muzyczne, jak stenografia oddaje mowę.

Na niedawnem zebraniu towarzystwa mechaników telegraficznych, cudowny ten wynalazek, którego przedmiot i natura są dostatecznie określone jego mianem „fonograf," funkcyonował w przytomności licznego zgromadzenia. Przedstawiono tu jeden fonograf, przywieziony świeżo ze Stanów Zjednoczonych i kazano mu powtórzyć zdanie, które słyszał w Nowym-Yorku i które powtarzał już wielokrotnie w podróży ku wielkiej uciesze słuchaczy. Zabawiono się mocno odśpiewaniem „God save the Queen" przez osobę, która fałszywie wzięła jedną z wyższych nut.

Przyrząd oddał śpiew z zadziwiającą dokładnością; ton fałszywy pozostał bez zmiany, pośród wybuchów śmiechu, ilekroć śpiew był powtórzony.

Fonograf jest przyrządem dalego mniej dyskretnym od telefonu; telefon wypowiada to u jednego końca, co usłyszał w drugim i nie pozostaje w nim nic. Fonograf przeciwnie notuje każdy dźwięk, każdy wyraz, nawet ton wymowy. Słowo raz wyrzeczone pozostaje jak list napisany; jest to świadek, który w pewnych razach mógłby czynić zeznania przerażającej doniosłości.

Dotychczas zadawalniano się oddaniem rysów, ubioru, postawy mężów stanu, teraz fonograf dozwoli przedstawić publiczności wierny opis ich wymowy, jąkania się, akcentu prowincyonalnego i t. d. Fonografia będzie dla głosu tem, czem jest fotografia dla twarzy.

Wielka liczba zdań historycznych była źle zrozumianą, z powodu że nie można było zachować ich intonacyi. Tak np. słynne zdanie Nelsona przed bitwą pod Trafalgar: „Anglia spodziewa się, że każdy wypełni swój obowiązek," otrzymała odmienne tłomaczenie, w skutek dodania dwóch słów i melodyi sentymentalnej, którą podłożono pod te słowa

Tymczasem, jeden z oficerów, ktorzy brali udział w tej bitwie, opowiada w swych pamiętnikach, że natychmiastowym skutkiem tych słów był silny gniew marynarzy, którzy się pytali wzajemnie, za kogo ich admirał ma. Dlaczego wyobrażał sobie, że nie będą pełnić swojej powinności? Natychmiast postanowili dowieść mu, że są warci tyle, co ich wodzowie. To było właśnie celem Nelsona.

Nie byłoby fałszywego tłomaczenia słów tych, gdyby Nelson miał był u swego boku „specyalnego korespodenta," uzbrojonego fonografem, któryby uchwycił zdanie wraz z cieniowaniem głosu, właściwem Nelsonowi.

* * *

Próby robione na zebraniu Towarzystwa mechaników telegrafu dążyły do tego, aby fonograf mógł być użyty do oddawania utworów muzycznych. Zdarza się często, że oskarżają artystę o fałszywy śpiew i że ten zaprzecza zarzutowi; można będzie, w podobnych razach, udać się do bezstronnego świadectwa fonografu. Jeżeli opis potęgi tego przyrządu nie jest przesadzony, można będzie z pomocą jego notować całe partycye nowego utworu.

Umysły bystre odgadły już zapewne, że fonograf, gdy doścignie swej doskonałości, uczyni bezpożytecznem powtarzanie przez artystów tej samej aryi. Z pomocą fonografu można będzie usłyszeć w Londynie operę tak jak się ona wykonywa w Paryżu, Wiedniu lub Petersburgu przez pierwszych artystów — przyrząd będzie oddawał nietylko nutę, lecz najdrobniejsze szczegóły wykonania.

Proponowano już, ażeby sławni artyści, z pomocą telefonu, pozwolili się słyszeć wielkiej liczbie słuchaczy, niezgromadzonej w jednem miejscu. Lecz z pomocą fonografu można się będzie obyć zupełnie bez usług artysty, gdy już raz wykona dobrze jaką aryę: egzekucya tejże aryi przez fonograf będzie miała taką samą wartość, jakby ją sam artysta wykonywał.

* * *

Głos wychodzący z przyrządu jest naturalnie zmieniony; nie jest to już głos osoby: jest piskliwy, słabszy, metaliczny, lecz stanowi to obraz dokładny głosu ludzkiego, rodzaj fotografii ze wszystkiemi niedokładnościami wymowy.

Nie ma nic bardziej zadziwiającego nad słyszenie rozmowy kilka minut przedtem wypowiedzianej, powtórzonej przez apparacik. Nie chce się wierzyć, aby nie było tu jakiej mistyfikacyi. Wydaje się, że jedna z otaczających osób naśladuje głos i powtarza rozmowę

Przyrząd jest jednakże tak prosty w pomyśle i w wykonaniu, że dziwnem się zdaje, dlaczego nikt dotąd nie wpadł na ten pomysł.

Błona (membrane) drgająca, podobna do błony telefonu jest umieszczona u podstawy otworu. Błona w środku mały sztyft opierający się na walcu horyzontalnym, miedzianym cylindrze około 20 centymetrów długim. Walec jest umieszczony między dwiema podporami i wstępuje na pręcik cienki (tige filetée). Gdy za pomocą rączki obraca się ten pręcik, postępuje on tak, jak szruba w swej osadzie, pociągając cylinder ruchem wolnym i regularnym, zniewalając go do obracania się około swej osi.

Wiadomem jest, że sztyft oparty na walcu obracającym się i posuwającym się jednocześnie, znaczy na powierzchni jego linię spiralną; w tenże sposób sztyfcik przymocowany do błony drgającej znaczy na arkuszu cyny, umieszczonym na walcu apparatu, rowek spiralny. Podczas mówienia, drgania błony udzielają swój ruch sztyftowi, który porusza się również w lniej lub szybcej i notuje wzdłuż linii spiralnej kropki silniej lub słabiej wyciśnięte na cynie Punkciki te stanowią prawdziwe pismo.

Gdy się żąda, żeby apparat odczytał to pismo i powtórzył dźwięki, dość jest obrócić korbę, ażeby z pomocą szruby walec powrócił na to miejsce, w którem był gdy zaczynał notować rozmowę. Sztyft wraca znowu do rowku, który wyrył, przechodzi przez małe nierówności i wklęsłości, które zrobił, poruszany drganiem, na arkuszu cyny; a ponieważ jest połączony z błoną, zmusza ją do zbliżania się lub oddalania od swego położenia, według swego ruchu. Błona drga i drgania te będą dokładnem powtórzeniem drgań zanotowanych na cynie przez sztyfcik. Każdy dźwięk będzie powtórzony, każdy wyraz wymówiony z właściwym mu tonem, cieniowaniem i wysokością.

Aparat ma funkcyę podwójną. Szruba się obraca — ktoś mówi. Rozmowa się zapisuje. Fonograf zapisując, skończył swą rolę. Słowa są zanotowane; wyjmuje się wtedy papier cynowy i zachowuje się go.

Następnie, ponieważ pismo byłoby trudnem do odcyfrowania, zamiast je czytać, umieszcza się arkusz w przyrządzie, który się zmienia w fonograf powtarzający, zmieniający pismo w dźwięki. Po wysłuchaniu i zapisaniu rozmowy, fonograf powtarza ją na żądanie.

Widocznem jest zatem, że mechanizm ten przedstawia pewne podobieństwo do mechanizmu skrzynek grających i organów berberyjskich. Nuty są zaznaczone na walcu za pomocą małych nierówności. Obraca się rączkę i nierówności zmieniają się na muzykę. Tylko tataj apparat sam przygotowuje swój walec, i robi całą robotę automatycznie.

Wymawiano telefonowi, że nie pozostawia żadnego znaku. Verba volant! Fonograf Edisona słucha, zapisuje i powtarza. Scripta manent! Dla telegrafów wynalazek ten może z pewnością przynieść niemały użytek.

R. z W.

Z tym numerem kończy się kwartał pierwszy.

Treść Nr. 31.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)   Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.